



## PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

### Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

### Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

### Wydawca MICHAŁ GLUCKSBERG.

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY  
Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80. W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebena i Spół., kwartal. 5 marek

## KOBIETA ROZUMNA.

### I.

Rozum jestto najwyższa władza umysłu ludzkiego, wykazująca nam cele życia i drogi do nich wiodące: kobietą rozumną jest też ta, która świadomie wybiera sobie szlaki dążeń swoich przez życie i wie co na nich spotkać, co u ich kresu znaleźć może. Francuzkie przysłowie: „Qui veut la fin, veut le moyen” jest doskonałym obrazowaniem stanu umysłu i postępowania ludzi rozumnych: wiedzą, czego chcą, i to jest cechą kobiety rozumnej, że umie przewidywać skutki czynów swoich. Jak skąpa powinna wiedzieć, że nie nabędzie w życiu nic więcej nad ściskany w ręku worek, tak rozrzućta nie może bez nierozsądku pragnąć, aby roztrwonione zapasy znaleźć się mogły w chwili potrzeby, i rozumna wyprzedza też każdy swój czyn wyborem tego, co w jej pojęciu życia przedstawia wziętki najszacowniejsze. Jest też to rozumu przymiotem najwyższym, że uczy nas prawdziwe wartości życia poznawać i rozum dlatego to podnosi nas nad zawody, nad bolesne życia omyłki, że nie pozwala nam liczmanów mosiężnych brać za dukaty, dla tej tylko przyczyny, że błyszczą.

Własne zdanie mieć jest najpierwszą i najważniejszą cechą rozumu: nie to uparte i poza widnokręgiem raz przyjętych wyobrażeń nic widzieć i wiedzieć nie chcące, ale na obserwacji stosunków życiowych, na podstawie obowiązków człowieka ugruntowane. Kobieta rozumna potrzebuje koniecznie taką sprawę z toczących się wokoło niej stosunków życia sobie zdawać, aby wiedzieć, przy czem wśród biegu jego wypadków stać, do czego rękę przyłożyć powinna. Kobieta

rozumna musi zatem być kobietą oświeconą — musi posiadać przekonania, na podstawie wiar swoich, swoich miłości powzięte i nie odstępować od nich jest nie tylko cnotą, jest nie tylko godnością, ale i rozumem, bo przeciwko przekonaniom swoim działać, to wprowadzać sobie w duszę rozstrój niepokoju — uczucie poniżające i bolesne, że idziemy drogą błędną, więc zawodną. Do najwyższych darów rozumu zaliczyć też należy przekonania silne, bo za ich sprawą przychodzą silne zamięłowania, bez których niema dobrego, doskonałego obowiązków swoich wykonywania. — Bądź zimnym, albo gorącym... naucza Chrystus — naucza nas rozumne w życie spojrzenie, bo wtedy tylko umiemy mocno stać przy obowiązkach, raz za sprawą rozumu na siebie przyjętych. Mówimy często, że nierozumem jest i płochością ulegać wrażeniom i za ich popędem iść; przecież człowiek, który głazem być nie chce, nie może zakuć się w tak twardy pancerz osobistości swojej, aby wrażenia odbijały się od niego, jak kule od tarczy żelaznej, trzeba mu tylko przez rozumne życia pojęcie taką mądrość życia sobie zdobyć, aby jedynie dobro i piękno szlachetne wrażeniami swemi działać na nas mogło i serce nasze rozplamieniać, wolę za siłą wzbudzonego uczucia pociągać zdołało. Jak należy żałować ludzi, którym gorączkowa wrażliwość nie daje być rozsądnymi, tak pożałowania godnymi są ci, którym twardość serca, czy tępość rozumu nie pozwala przyjmować wrażeń potrzebnych dla rozbudzenia przyrośniętego uczucia, wyobraźni — dopuszczać do siebie sił, które, wstrząsając istotą naszą, wyprowadzają nam z głębi serdecznej moce zapalu — tego rozpalać ducha, które jest podniętą do najwznioślejszych czynów człowieka. Chrystus to nam powiedział, że do gwałtowników należy królestwo niebieskie, gdyż zatem może być nierozumieniem poryw uczucia, unoszący nas poza wyrachowanie tego rozsądku, który każe nam tylko na

bezpiecznym poziomie życia się trzymać. Kiedy Mickiewicz zawołał: — Łam, czego rozum nie złamie!... wyobraźnia jego musiała mu przedstawiać w tej chwili niższy rozumu porządek — rozum ludzi młodszych z rodzaju tych żab „co się w bagnie tają”. Rozum opiera się niewątpliwie na rozsądku, to jest na rozsądzeniu sobie myśłą tego, co jest dla nas pożytecznym, lub szkodliwym, więc u każdego z nas jest takim, jakim jest nasz rozsądek: miara do rozmaitych wartości życia przykładana.

Kobieta rozumna w dostojnem znaczeniu tego wyrazu posiada z konieczności rozumu swego tę mądrość, która jest „chorób duchowych lekarką”. Niema człowieka bez grzechu, bo niema człowieka bez słabości jakiejś i poznać je — te słabe istoty nasze strony, aby siłą rozumu zapanować nad niemi i leczyć się z niedostatków natury swojej, należy do najważniejszych zadań rozumu ludzkiego. Niech pyszny nakłada na siebie próby pokory, tchórzliwy doświadczenia czynów mężnych, i tak tylko, łamiąc wyższą siłą naszego ducha niższe instynkta nasze, dochodzimy do miary pewnej doskonałości za sprawą rozumu, bez którego też życie jest jedynie zbiorem pewnych zdarzeń i wypadków, łaską i niełaską losu na nas zesłanych. Człowiek przez rozum tylko jest istotą wolną i tylko przez rozum może się stać istotą zasłużoną. Cnota sama rozumną być musi, aby rzeczywistą cnotą i zasługą uczynić się mogła — aby naprzykład szczodrość nie była rozrzutnością, dobroć, kłikliwość serca słabością, odwaga szaleństwem, trzeba wskazówek rozumu: trzeba jego światła, w którym dopiero przedmioty i wypadki ukazują nam się w prawdzie swojej doskonałej. Don Kiszot wojujący z wiatrakami, to męstwo; to działalność rycerska, rozumem nie podparta, i tak jest ze wszystkim w życiu. Bez rozumu trudno jest żyć dobrze, trudno jest żyć szczęśliwie, a niema tu różnic żadnych dla życia kobiety i mężczyzny, bo rozum jest nam tak po-



trzebny w każdym życia zakresie, jak światło dla podróżnika, który postępuje drogą nieznaną sobie. Życie, mimo wszystkich przykładów, jakie nam dają współtowarzysze na drogach jego, wymaga własnej naszej świadomości celów, które stanowią o dążności naszych kierunków. Czy może być dobrą żoną, dobrą matką, dobrą domową swojego gospodarstwa — naczelniką życia u rodzinnego ogniska, co jest niemal urzędem społecznym, kobieta nieposiadająca rozumu — tej myśli podnioslejszej, która w szczegółach widzi cząstki ogólnej pracy u zagonu swojego? Nauka — oświecenie umysłu, jakie daje, znaczy tu wiele, bardzo wiele, bo rozszerzając krąg naszych pojęć o życie, rozszerza i życia tego pojęcia, poglądom na nie daje punkt obserwacji podnioslejszy, ale to jeszcze nie wszystko, co przedstawia kobieta rozumna.

Kobieta rozumna, to przede wszystkim ta, która wśród życia do wszelkiej jego rzeczy umie odpowiednią wagę i miarę przykładać, wartości posiadane tak różniczkować, aby drobnostki nie stały na równi z tem, co jest życia wartością wyższą. Jest przecież różnica między drobnostkami a rzeczami drobnymi, bo rzeczy wielkie, największe, z drobnych się tworzą, jak góra z ziarenek piasku, i to właśnie na dział pracy kobiecej przypada, aby o te ziarenka troskliwą być umiała. Żadna rzecz drobna, która jest cząstką wielkiej, lekceważoną być nie może — nie powinna, pod karą niedorobienia się nigdy owej całości, wielkiego znaczenia, ale drobnostki — pyłki życia, fatalaszki jego, nie powinny mieć nigdy w oczach kobiety rozumnej wagi wyższej nad to, że są drobnostkami. To ją właśnie odróżnia od nierozumnej, która do nich taką wartość przykłada, że różnica między małym a wielkim dla niej ginie: małostkami opłatana, ciężarkami drobnymi gnębiona, nie umie się już podnieść do pożądanego rzeczy wielkich i schodzi na małe upodobania, małe pragnienia.

Wielkie pożądanego rzeczy małych to cecha szczególna kobiet niedostatecznie rozumnych, nierozumnych. Nad taki stan się wydestać to znaczy osiąść ten rozum, o który społeczność chrześcijańska przy modlitwie codziennej Boga prosi, a który daje człowiekowi wolę wolną, bo go z jasyru drobnostek wyzwala, pozwala mu skupić siły istoty swojej w pragnienia szlachetniejsze, wyższej, dostojniejszej natury. Nie samym chlebem człowiek ów żyje, i dlatego każda istota ludzka musi się przykładać myślą i uczynkiem do torowania dróg niematerialnego tylko postępu ludzkości, do przysparzania światu coraz-to więcej promieni dobra i piękna duchowego, i czy w podziale pracy, jaki tu miejsce mieć musi, nie na część kobiety wypadło właśnie, aby życie rodzin, wewnętrzne życie ludzkości u domowych jej ognisk, było torowaniem dróg dla zgody ideałów uczucia naszego z praktyką życia? Spospolitowało się poniekąd stare wyrażenie, że kobieta jest kapłanką domowego ogniska, nie mniej prawdą to jest, że kobieta, pojmująca życie w jego zadaniach wyższych, w jego dążeniach do celów tej cnoty, na której gruntuje się życie społeczeństw, może tu wiele — tak wiele jak działanie u podstaw, ale trzeba na to, aby była kobietą rozumną, wedle tego pojęcia rozumu, które jest wiedzą złego i dobrego.

M. I.

## LITERAT.

(SZKIC z NOTATEK REDAKTORA).

(Dalszy ciąg).

Zaczął mi o swojej humoresce szeroko opowiadać z wielkim zadowoleniem; nazywał ją wprawdzie „głupstwem“, „błahostką“, „drobiazgiem“ ale znać było, że przykłada do niej wielką wagę.

Chciał, żebym ją na poczekaniu przeczytał, albo posłuchał jego czytania.

— Uśmieje się redaktor — zapewniał mnie — to potrwa minutkę, nie dłużej.

Przeprosilem go, że jestem bardzo zajęty, i że wolę sam w swobodniejszej chwili zapoznać się z jego „głupstwem“.

— Cóż, ja nie mam żadnej pretensyi, żeby to było drukowane — mówił — ale mnie zależy na zdaniu szanownego redaktora. Chyba gdyby tam była jaka dziura do zapchania, to skorzystajcie łaskawie z tej bagatelki.

Zaczął do mnie z coraz większą konfidencyą odzywać się przez „wy“, jakbyśmy kollegowali z sobą od szkolnej ławy.

Przypomniał sobie fragment pozostawiony przy pierwszej wizycie i zagadnął mnie nieśmiało:

— Pewnie szanowny redaktor ani zaglądał jeszcze do niego?... co?... przy tylu zajęciach na głowie!...

— Owszem, przeczytałem i... oto jest — odrzekłem, podając mu rękopis.

Pokraśniał cały z radości.

— Na seryo?... a to pięknie!... to się nazywa załatwiać sprawy redakcyjne. No i jakże?... jak uważacie, kochany redaktorze?...

Powiedziałem mu, że tego „Ducha w duchu“ nie dobrze zrozumiałem, i że go drukować nie będę, bo moje pismo filozofią się nie zajmuje. Twarz mu się przeciągnęła i spojęła w jednej chwili. Nie spodziewał się takiego zawodu. Wziął rękopis, złożył we czworo i schował do kieszeni od swoich kratkowanych pantalonów, mówiąc:

— Tak, ja się spodziewałem, że to będzie za poważne dla waszego pisma... dlatego nawet przyniosłem redaktorowi coś leższego. Zobacz redaktor, że humoreska się nada, to całkiem w innym rodzaju.

Posiedział jeszcze trochę, ale skwaszonym był moją odmową, choć starał się nadrabiać miną.

— Tak, tak!... to nie czasy dziś na filozofię i poezję — rzekł sentencyonalnie — zepsuliście czytelników lekką strawą, realizmem, naturalizmem, pesymizmem i t. d. i t. d., odzwyczajacie ich poważniej myśleć i smakować w rzeczach poważnych. Ha, coż robić!...

Spojrzałem na niego zukosa dość wymownie, bo się spostrzegł, że ta uwaga nie bardzo była właściwą w jego ustach.

— No, ja nie mówię tego do szanownego redaktora, broń Boże! — zaczął, usprawiedliwiając się natychmiast, z innego tonu, jakby się obawiał zrazić mnie sobie — tylko tak, użyłem formy ogólnej. Ale przyznaj redaktor jednak, że mam słuszość, co?... prawda?...

Przyznałem, aby go na dyskusję nie wyciągać.

— No, to bywajcie zdrowi, żegnam redaktora, a polecam się jego łaskawym względom. Teraz, kiedy wiem, że redaktor tak piorunem załatwia swoich współpracowników, to wam przyniosę cały plik moich utworów, ale wprawdzie musicie mi wydrukować moją humoreskę, bo inaczej nie dam, słowo honoru!

Ta pogróbka, pół żartem zrobiona, ucieszyła mnie niewymownie, spojrzałem znowu z uśmiechem na mój koszt redakcyjny, jakbym mu obiecywał świeży kasek i byłem z góry przygotowany nie doprowadzić do rozpuku moich prenumeratorów, arcydziełem nowego humorysty.

Skusiło mnie jednak w wolniejszej chwili zaglądnąć do rękopisu Ładawy Gromińskiego i uśmiełem się rzeczywiście, ale z naiwności autora, któremu się zdawało, że stworzył rzecz możliwą do druku.

W kilka dni dostałem od niego list i spory pakiet rękopisów. Skarżył się, że mnie w redakcyi zastać nie mógł, choć w rozmaitych porach zachodził, a nawet w domu mnie szukał, więc „pozwałał sobie, kilka lepszych próbek swego pióra przesłać mi do przejrzania i oceny.“

Tak wielostronnej nieudolności nie zdarzyło mi się spotkać w mojej redaktorskiej praktyce; jedna rzecz tylko w istocie godną była podziwu, mianowicie ta mnogość czasu i cierpliwości do spisywania wszystkich tych tragedii historycznych, dramatów społeczno-obyczajowych, fars,

librettów do oper, powieści kilku-tomowych, nowell, obrazków, szkiców, poematów, fragmentów filozoficzno-poetycznych i Bóg wie jakich jeszcze szumnie zatytułowanych „płodów“, które mnożyły się pod niestrudzonem piórem tego zapoznanego geniusza.

Redaktorska fatalność nasłała mi go na głowę; nie mogłem go się pozbyć, ani zrazić do siebie. Przyłaził co dzień, wyrastał, jak zpod ziemi, czatował na mnie w bramie, na ulicy, przyczepiał się w teatrze, na przechadzce, w cukierni, wyskakiwał do mnie z tramwaju po to tylko, aby mi rękę uściśnąć i oznajmić o „nowem dziecku swego ducha“, które poronił, zapowiedzieć wizytę, lub stereotypowo zapytać:

— No, kochany redaktorze, kiedyż nareszcie wydrukujecie co mego?...

Spoglądał przytem na mnie z tak żalosnym wyrzutem, jakbym się znęcał nad jego cierpliwością i zawodził najgłębsze zaufanie, które we mnie pokładał.

Odrzucałem kolejno wszystkie jego prace, z czystym sumieniem, nie czytając więcej oprócz tytułu, przekonany z góry, że znajduję w nich to samo, co zawsze, rozwlekłość i wodnistą styl, pretensjonalność do niezwykłych pomysłów, najdziwniejszą budowę i mnóstwo błędów ortograficznych, które starał mi się usprawiedliwiać, jako „swą własną pisownię“.

— Przepraszam redaktora — odpowiadał z czarującą beczelnością — ale ja tak piszę; dopóki nie będziemy mieli porządnej grammatyki i ortografii, póty wolno mi mieć moje własne reguły. Zresztą, w druku możecie poprawić — dodawał wspaniałomyślnie — ja się nie upieram.

Marzeniem jego było zobaczyć się nareszcie wydrukowanym; przesładowała go ta manja autorstwa, której padałem ja ofiarą.

Przychodził się radzić co do nowych pomysłów, zwierzać z literackich swych zamiarów, uskarżać na podłość „kliki“, na zawiść i ignorancję w świecie autorskim, na zarozumiałość i pyszałkowatość wszystkich redaktorów, spośród których łaskawie zawsze mnie wyłączał, jako wyjątek.

Rozzbierała mnie w nim ta dobra wiara w swój talent i aspiracje twórcze i ta jakaś pokora, z jaką przyjmował odemnie wszystkie uwagi.

— A ja jednak szanownego redaktora przekonam do siebie — powtarzał mi, niezrażony moim postępowaniem — zobaczy redaktor!...

Uważał, że nie jest pierwszym, na którym się od razu nie poznano, i przytaczał mi przykłady żyjących i nieżyjących wielkości, względem których krytyka była taksamo uprzedzoną i niesprawiedliwą.

Pewnego razu zrobił mi wymówkę z miną bardzo poważną i urażoną:

— Szanowny redaktor nie jest na mnie łaskaw — rzekł — a nie przypuszczam, aby mnie chciał tem obrażać.

Nie domyślałem się nawet, do czego zmierza.

— Redaktor mi jest winien wizytę od tak dawna — dodał z miną ceremonialną, jakby się z wielką godnością upominał o prawa mn przynależne. — Miałem zaszczyt złożyć redaktorowi tyle razy moje uszanowanie, a dotąd nie miałem sposobności przyjąć go w moim domu. Czekam i czekam... Nie wiem już, jak mam to sobie wytłumaczyć. Przecież mi szanowny redaktor afonitu nie chce robić?... Nieprawdą?... Nieprawdą?...

Musiałem mu się wymawiać, że tak mało mam czasu na towarzyskie stosunki i obowiązki światowe, ale ostatecznie przyrzekłem rewizytować go w następnych dniach. Przyjął tę obietnicę z namaszczeniem i z głową dumnie podniesioną pożegnał mnie słowami:

— Będę zatem czekał z niecierpliwością.

Myslałem sobie, pójdę, rzucę kartę i pozbędę się wszystkiego.

Jakieś niedzieli w południe wybrałem się do niego z tą cichą nadzieją w duszy, że mnie ode drzwi odprawia oznajmieniem:

— Pana niema w domu.

Gdzie tam!.. właśnie musiałem go zastać.

Wybiegł do mnie aż na schody w kamizelce tylko i bez surduta, ale z piórem za uchem; siedział „przy pracy“.



— No, przecież mamy ten zaszczyt szanownego redaktora widzieć u siebie!.. Franka!.. surdut!.. — wołał rozpromieniony moim widokiem, wprowadzając mnie do mieszkania i trzymając oburącz za rękę, jakby się obawiał, abym mu nie uciekł.

— Proszę, proszę, do salonu!.. ja zaraz będę służył!.. No, Franka, dajesz ten surdut, czy nie?.. Taki gość!.. taki zaszczyt!.. — powtarzał, usiłując wciągnąć rękaw, w którym zaplątał się za podszewkę. — Już też godziło się wybrać do swego współpracownika, a!.. godziło, doprawdy, szanowny redaktorze.

Nie wiem, z kąd mu przyszło nazywać się moim współpracownikiem, skoro dotąd ani jednego wiersza u mnie nie wydrukował.

Pokój nazwany salonem miał aż trzy okna bez firanek, które musiały być zdjęte do prania, bo u góry na hakach wisiały jeszcze gzemisy; brudnoczerwona farba pociągnięta posadzka miała powycierane nogami plamy i ścieżki między jedną a drugimi drzwiami; na starym, spłowiałym i postrzępionym dywanie stał garnitur mebli starożytnego fasonu, kiedyś, bardzo zapewne dawno utrechtlem krytych, na ścianie wisiał w okrągłej, czerniałej od kurzu i obtłuczonej ramie złotej portret jakiegoś jegomościa w pudrowanej peruce, papuszej kamizelce z żabotami i granatowym fraku; malowidło miało w samym środku dziurę właśnie w miejscu, gdzie przypadała ogromna ametystowa spinka u półkoszulka, zapewne jakiegoś z antenatów rodziny Ładawów-Gromińskich.

Salon pomimo garnituru z wygniecionymi siedzeniami, z których sprężyny miały wielką ochotę wydostać się na świat Boży, tracił pustką i sprawiał wrażenie rudery, a meble prosiły się na tandetę.

Gdyśmy usiedli w przepaścistych fotelach i zamienili kilka słów o wysokich schodach i niewygodnym mieszkaniu, na progu ukazał się chudy, wysoki, zawiedły staruszek, zeszpakowaną czaprynką, krzaczystymi brwiami, o małych oczkach, z nosem dziwnie długim i spuszczonej jak u indyka, pomiędzy wąsy podkręcone do góry; na nogach miał filcowe pantofle a na sobie czarny surdut, który mi się dziwnie wydawał znajomym ze względu na splamioną klapę z lewej strony. Zapamiętałem ją dobrze z pierwszej wizyty autora „Ducha w duchu“.

Ta wspólność garderoby ojca i syna licowała najzupełniej z całym urządzeniem salonu.

Stary przywitał mnie z wielką attencją, nie przestając się uśmiechać i nastawiając ciągle lewe ucho ku synowi.

— Ojciec trochę nie dosłyszysz — byłem uprzedzony przy prezentacji.

— Mundzio wspomina zawsze o panu redaktorze, jako o swoim wielkim protektorze i przyjacielu, — powiedział mi staruszek, drżącą ręką ściskając moją dłoń na znak wdzięczności. — Bóg zapłać szanownemu panu za opiekę nad naszym jedynakiem!..

Przyjąłem to niezasłużone podziękowanie ze zdziwioną trochę pokorą, nie poczuwając się do protekcyi, której żadnych dowodów dotąd nie dałem.

Mundzio zacierał ręce z miną mistrza ceremonii, który przyjmuje dostojnika w progach książęcych. Nie powiem, żeby mi to bardzo pochlebiało; czułem się w jakiejś fałszywej pozycji.

Rozmowa się urwała. Rzuciłem okiem na portret, aby gdzieś wzrok dłużej zatrzymać, a mój „protegowany“, pochwyciwszy w lot to spojrzenie, pospieszył natychmiast z objaśnieniem:

— Aloizy Ładawa Gromiński, dziadek mojego ojca.

Wygłosił to z pewnem uczuciem dumy, jaką go przejmowała pudrowana peruka, żaboty i dziura w ametyście familijnego portretu.

Bogu dzięki, nastręczył się temat do rozmowy, który rozwiązał Mundziowi usta; stary, przykładając dłoń drżącą do ucha, starał się lepiej dosłyszeć każde słowo syna, w którego wpatrywał się, jak w obraz z wyrazem prawdziwego uwielbienia i zajęcia. Uśmiechał się do mnie i zwracał swe małe oczki ze spojrzeniem, które pytało:

— A co?.. ślicznie mówił.. prawda?..

Kilka razy powstawał, aby poprawić mu krawat na szyi lub odgarnąć kosmyk włosów opadający na czoło Mundzia, przy czem nie omieszkiał za każdym razem pogłaskać go z czułą pieśczęcią po głowie.

Mundzio zdawał się nie zważać na to, przyzwyczajony widocznie do takiego zajmowania się sobą.

Łatwo mi było poznać, że jest bożyszczem i przedmiotem podziwu swego starego.

— Redaktor pali? — spytał nagle, przypomniawszy sobie obowiązek gościnnego gospodarza młodszego Gromińskiego — ach, przepraszam... zapominałem. Zaraz będą papierosy... Franka!.. jakie szanowny redaktor pozwoli?.. w tej chwili.

Zerwał się i wybiegł z salonu.

Stary powiódł za nim oczyma, uśmiechnął się i podszedłszy do mnie, rzekł:

— Genialny chłopiec!.. prawda, panie redaktorze?.. jak on to wszystko umie tego... to... wszystko, ol.. w małym palcu, w małym palcu!..

Chciał przez to wyrazić, że syn jego ma więcej rozumu w małym palcu, niż tysiące innych w całej głowie.

— Szkoda, że się marnuje, — zauważyłem, aby cokolwiek przecie odpowiedzieć.

Staruszek podniósł na mnie zdziwione oczy; zdawało mu się, że nie dosłyszał.

— Co robi?.. przepraszam pana dobrodzieja — spytał, zmrużając powieki i nastawiając swoje lewe ucho.

— Że się marnuje, — powtórzyłem jeszcze głośniejsze.

— Jak to?.. dlaczego?.. — niemal z zaleknieniem spytał mnie znowu.

Żał mi go było, gdy zobaczył ten wyraz zniekania i zaniepokojenia nagle na jego twarzy, pomarszczonej, jak jabłko pieczone.

— Myślę, że nie ma żadnego praktycznego zajęcia, — rzekłem.

— No, a literatura? — zagadnął mnie z poważną miną.

— Tak, — odpowiedziałem — ale to chleba nie daje, z tego żyć trudno dzisiaj, zwłaszcza na początku.

Pokiwał głową strapiiony, jakby mi przytakiwał w duchu i chciał powiedzieć: „oj, wiem ja coś o tem!..“

— Jednak — zaczął po chwili — gdy się wyrobi... pan dobrodzieja mu pomoże, jakoś to pójdzie.

— Zawsze lepszym byłby pewny kawałek chleba, — zauważyłem — jakieś stałe zajęcie, urząd jakiś, biuro...

— Zapewne, zapewne — z westchnieniem powtarzał stary — i zdrowiej-by mu to było. Ale — dodał nagle z głębokim przekonaniem — szkoda talentu!.. Zawsze to, co literat, to literat; dwóch srok nie można, z przeproszeniem, za ogon trzymać. A talent obowiązuje, bardzo obowiązuje, bo to iskra Boża; nie wolno jej przygaszać człowiekowi. Co innego, gdyby nie miał talentu — a!.. to inna historia.

Zasłepienie ojcowskie nie pozwoliło mu ocenić syna właściwą miarą a przyznam się, że nie miałem serca powiedzieć mu w oczy:

— Ależ panie, ten Mundzio pański, to hebes skończony, ale nie żaden literat.

Byłby mnie zresztą z oburzenia prędzej za drzwi wyrzucił, niż uwierzył takiej opinii.

Na szczęcie, przerwał nam rozmowę na tak drażliwy temat sam Mundzio, wpadając z paczką papierosów w rękę, po którą widocznie posyłał dopiero do dystrybucyi i zawołał:

— Skoro tu redaktora już mam raz u siebie, to nie wypuszczę tak prędko; o!.. proszę o kapełusz... Mam nadzieję, że szanowny redaktor nie pogardzi w naszym domu skromnem śniadankiem. Czem chata bogata, tem rada. Moja matka pragnie ugościć redaktora kochanego, szanownego, mojego drogiego protektora!..

Ręce mi schwycił i trząsł niemi z całych sił, musiałem się z nim całować w powietrzu z dubeltówki i choć się wypraszałem, wymawiałem brakiem czasu, ważnym interessem o oznaczonej godzinie, nie mi pomogło.

— Jak Boga kocham, nie puszczę!.. jak redaktora poważam, drzwi na klucz zamknę, a nie wypuszczę!.. wołał z natarczywą gościnnością, która mi ciążyć zaczynała.

Do jego prośb przyłączył się stary i matka, zwabiona do pokoju naszymi targami.

— Niechże pan redaktor dobrodzieja nie odmawia — odezwała się niemal błagalnie, przechylając głowę z miną tak jakoś zafrasowaną, że trzeba było zostać i przyjąć to śniadanie, w które najwidoczniej zamieniła się połowa przygotowanego ich obiadu.

Mundzio burmistrzował w całym domu; przy stole wydawał rozkazy i posługiwał się co chwila to ojcem, to matką, dysponując bez ceremonii:

— Mamo, rzodkiewki!.. ojczu, masła więcej dla pana redaktora. Może jeszcze kapinkę wódeczki?.. co?.. Mamo, gdzie wódka?.. Niech-no ojciec nakraje więcej chleba!

A starzy krzatali się, wstawali od stołu, wybiegali do kuchni, spoglądali mu tylko w oczy i nie śmieli sobie na talerz nałożyć ani kęska, zahukani przez Mundzia.

Kiedy raz poprosiłem o trochę soli, cała rodzina porwała się z miejsc i rozbiegła we wszystkie strony, jakby chciała całą Wieliczkę na stół sprowadzić.

Mundzio chciał mi gwałtem wpakować w gardło wszystkie kotlety siekane ze spinakiem i zmuszał do picia ciepłego piwa powtarzając:

— Ależ to redaktor kochany ma mały spust!.. wcale nie politeracku redaktor ciągnie. Ojczu, trzeba drugą butelkę odkorkować.

Gęba mu się nie zamykała; gadał o wszystkim naraz, a najwięcej o swoim ulubionym temacie, o klice, koteryach redakcyjnych, nieuznawaniu talentów i t. p.

Raz po raz powtarzał: „my literaci“, „my ludzie pióra“, zdaje mi się, że się zagalopował aż do „geniuszów“ i biorąc moje milczenie za przytakiwanie, wołał:

— Niech-no ja tylko przy pomocy mojego redaktora trochę na wierzch wypłynę — bo wypłynę przy was, prawda? — to wtedy założymy do spółki nowy organ, jakiego nie było w naszej prassie. Wtedy zmasakrujemy tych pyszałków, co-to dziś nosa zadzierają pod obłoki!.. prawda?.. damy im takiego łupnia, jakiego świat nie widział!..

— I nie zobaczy — dopowiedziałem sobie w duchu.

(Dokończenie nastąpi).

## LIST Z ANGLII.

Dnia 1 Maja 1891 r.

Po niepamiętnie ciężkiej zimie, mamy tu jak rzadko ciepłą i pogodną wiosnę. Słońce grzeje tak stale więcej już niżeli od miesiąca, że nawet mgła zwalczona została i poszła sobie gdzieś na morze, co też należało się ludziskom zbiedzonym w niesłychany sposób. Wystawcie sobie, przy porządnym już mrozach mieszkaniu bez pieców, bez okien podwójnych, z kominkami tylko; więc też niejeden w łóżku cały dzień leżał, aby nie marznąć. Ale w Londynie nie wszyscy mają łóżka, bo w tem ogromem, blisko pięćmilionowem mieście, liczącem wylegitymowanej i w rubryce stałych mieszkańców zapisanej ludności 4.425.000 osób, są krocie takich, którzy nie znaleźli nigdy zbytku własnego legowiska i których sypialniami są przez całe szeregi lat przytułki dobroczynne, otwierające tu co wieczór swoje wnętrza, ponure jak grób. Któryś z dzienników obliczył, że w Londynie jest więcej Szkotów niż w Edynburgu, więcej Irlandczyków niż w Dublinie, więcej Katolików niż w Rzymie. W roku 1660, który był pierwszym porządnie dokonanego spisu ludności londyńskiej, przedstawiła ona licząc



bę 40.000 mieszkańców, w r. 1700 było ich 70.000, w r. 1890 — jak wyżej.

Zima tegoroczna zapisze się w rocznikach Anglii kartą straszną. Dobroczynność publiczna i prywatna składała summy ogromne, ale to była otchłań do napełnienia. Obok nędzy zwyczajnej, nędzy, którą niesie starość, kalectwo, zepsucie i choroba, przybyło nagle 97.000 nędzarzy przez brak pracy, przerwanej w zajęciach, których nie dopuszczała niepamiętna tu zima. Znany już wam z listów moich wódz *Armii Zbawienia*, generał Booth, wystąpił w łamach *Timesa* do zaciętej walki z lordem-majorem Londynu i wszystkimi prawie zakładami dobroczynnymi, dowodząc, że nie umieją, czy nie chcą pospieszyć ludowi z pomocą. Dla efektu kłamał nawet rzeczy niebywałe, chcąc dostać w swoje ręce zarząd wszystkich ofiar publiczności angielskiej, oskarżał wspomniane zakłady: „że są przez swoją systematyczność i sztywność za powolne, że nie umieją dotrzeć do gniazd nędzy najcięższej”. Człowiek ten i tak cudów dokazał, dostał do rąk, jak liczby stwierdzają, 112.000 funtów, a w obiecanych mu zapisach pośmiertnych liczy ich 300.000. Obecnie chce zwołania wielkiego meetingu dla zebrania jeszcze 100.000 funtów, potrzebnych mu, jak twierdzi, do skutecznego wystąpienia przeciw szatanowi nędzy, która pożera moralność angielskiego narodu.

Dowiedziano mu przecież, że w swoich wykazach nie zawsze był co do liczb ścisłym, to jednak nie stanęło zawadą na jego drodze — nie przeszkodziło do rozwijania potężnej rzeczywistości działalności i wzbudzania idącej za tem sympatii. Stanley naprzykład, darował mu wszystkie upominki, jakie od roku 1878 otrzymał od monarchów i książąt z krwi królewskiej. Wartość pieniężna tego daru ma podobno przechodzić 100.000 funtów, to jest fortunę magnacką i dar to niesłychany za życia ofiarodawcy prywatnego. Jedni widzą w tem wyniosłą dumę człowieka, dla którego po wielkich, ogromnych owacych, sympatyja zrazu bardzo gorąca zaczęła z wolna stygnąć, gdy wystąpiły przeciw niemu smutne a nigdy dostatecznie niezbite przezeń zarzuty, przypisujące mu rozmyślnie dla celów samolubnych opuszczenie towarzysza na jednej drodze pracy, biednego kapitana Barttelota, drużny — oddziaływanie żony, niezmiernie uczuciowej, dobrej kobiety. Jeszcze jako młoda panna, Dorota Tennant, przedstawiała najszlachetniejszy typ kobiety angielskiej, która nie tonie całkowicie w drobnych sprawach codziennego życia i poczuwająca się do obowiązków społecznych, przykładą rękę do tej filantropijnej działalności, którą wśród spraw ogółu uważa za swój wydział. Ubogie, opuszczone dzieci, sieroty zwłaszcza, były przedmiotem dobroczynnego zajęcia się miss Tennant i wyszedłszy za mąż, słodka i łagodna umiała, jak utrzymują ogólnie, wpłynąć szczęśliwie na usposobienie męża. W kosztownych upominkach, otrzymywanych przez niego od możnych tego świata, widziała tylko świetne błyskotki, co mogło oddziaływać w części jakiejś na niego i w danej chwili kazała mu pokazać ludziom, że interes materialny nie jest dlań wszystkim, że ma w sobie dość podniosłości uczucia, aby cenić życia wartości wyższe. Obie te przyczyny złączyć się tu mogły, a należy to do aktów mojej wiary w człowieka, że żadna nieco już szlachetniejsza istota ludzka nie może wyżyć samym chlebem. Wiem też z doświadczenia, że jeżeli — jak chce stare nasze przysłowie — dyabeł posyła tam kobietę, gdzie już sam nie poradzić nie może, czyni to samo i anioł stróż.

Za pieniądze otrzymane od Stanleya założył Booth dwie instytucje dobroczynne „dwa etapy” zakłady stopniowego rozwoju moralności: jeden dla ludzi bez dachu, z powodu, iż im brakuje pracy, drugi dla przestępców, którym nieszczęśliwa przeszłość drogę życia zagraża. Tych ostatnich wprost od bram więzienia, w którym odsiedzieli karę, przyprowadzają tyralierzy i tyralierki *Armii Zbawienia*, do schroniska, znajdującego się na przedmieściu, w parafii S-go Pankracego, gdy pierwsi mieszczą się w dzielnicy Hackney, a tak tu, jak tam nauka pracy chlebobdajnej jest celem

głównym, bo według zdania Bootha praca umoralnia złych, a dobrych na drogę złego nie puszcza. Rozkład tej pracy i porządek życia jest niemal jednakowy, a generał przemawia do każdego z przybywających prawie jednemi wyrazami: „ten kto pragnie, aby jadł, pił i spał dobrze, a nawet zabawił się niekiedy i zarazem był człowiekiem zbawionym ode złego, powinien pracować i być posłusznym prawu”. Pracuje też w obu zakładach 10 godzin dziennie każdy według miary sił i zdolności swoich. Booth nie pyta nigdy tych pensjonarzy i pensjonerek swoich o ich wyznanie religijne, narodowość, stan, przeszłość. Wszyscy są to przedewszystkiem ludzie, którym potrzeba pracy, a ta zaczyna się w obu zakładach o godzinie szóstej rano i trwa do tejże godziny po południu, że przecież odpoczynek południowy jest dwugodzinny, więc praca zabiera im dziesięć godzin na dobę. Booth jest silnie przekonany, że człowiek najniżej upadły, dba przecież w duszy o szacunek bliźnich swoich i dla tego też nikt i nic nie przypomina tutaj tym, na których ciąży wina popełniona, że są przestępcami i to, jak się Booth przekonał, pozyskuje mu ich wdzięczność, skłania do powrotu na dobrą drogę — do odrodzenia się moralnego. Aby przecież nowe istnienie nie było zbyt jednostajnem i posępnem, nie ciężło zbyt karnością swoją surową, wpłata on w nie i coś przyjemności. Ci terminatorowie uczciwego życia, bawią się między sobą w gry gimnastyczne, słuchają muzyki kapeli wojskowej grywającej na skwerze pobliskim, a wszyscy, tak nauczyciele jak dozorczy, obchodzą się z nimi niemal po koleżeńsku. Booth przemysliwa też o środkach przy których pomocy takie schronienia poprawcze dla ludzi wszelkiego wieku mogłyby się wznieść w każdej ubogiej dzielnicy Londynu, a z kolei i w miastach prowincjonalnych.

„Drugim etapem” tych pensjonarzy Armii Zbawienia są kolonie wiejskie, gdzie przy większej swobodzie wyrabiać się już mogą samodzielnie na ludzi uczciwych, pracowników użytecznych. Tutaj gra już największą rolę ów wspaniały dar Stanleya, bo bez ofiary, którą uczynił, czyżby zgromadzono tak zaraz kapitał na kupno osad wiejskich, gdzie tak mężczyźni, jak kobiety uczą się pracy koło roli, uprawy ogrodów. Rozsyłani następnie do osad zamorskich, rozpoczynają dzięki jego darowi nowe życie w zupełnie odmiennych warunkach, zostawiając po za sobą przeszłość nędzy lub występku, jak ciężki, okrutny sen, który się skończył o świcie nowego istnienia.

Że po takim czynie monarszej niemal hojności może Stanley mieć humor dobry, może używać wesoło przyjemności życia, które w dodatku opromienia miłość — nic dziwnego. Zaraz po spełnieniu tego aktu monarszej niemal wspaniałości wyjechał wraz z młodą żoną do Włoch, i dawny jego znajomy znad brzegów Nilu, podróżnik włoski Casati, spotkawszy go w Lombardii, nie mógł go poznać prawie, tak ten szorski niegdyś, posępny i wyniosły człowiek, którego wtedy nie lubił, ukazał mu się teraz uprzejmym i pogodnym. Towarzyszący Casatiemu przyjaciel, kapitan wojsk włoskiej *Riformy* to spotkanie, opisuje na szpaltach włoskiej *Riformy* to spotkanie, lecz ten, zostawia prawie na boku Stanleya i rozpisuje się głównie o jego żonie, w której widzi wzór doskonałości kobiecej i podbijającego wdzięku. Układ jej bardzo spokojny, który obok tego nazywa dostojnym i zachwycającym w kobiecie bardzo ładnej, oddziaływa tak na każdego że gbur nawet musiałby być dla niej z uszanowaniem. Gra przytem artystycznie i Camperio unosi się nad tem, co mu grała z kompozycji Szopena. Idąc tu za zdaniem Casati'ego, jej też przypisuje on umiarkowanie Stanleya, gdy mówił o krytykach dzieł swoich, pisanych przez takich też, jak on badaczy Afryki, a szczególnie o fałszywie, jak starał się wykaazać Casatiemu, rzucanych cieniach na jego działalność wśród krajowców. Młoda pani jest przytem wszystkim i niepospolitą artystką, ona to robi własnoręcznie ze szkiców męża rysunki do dzieł jego, a że przytem obeznała się już z obrazami natury afrykańskiej, z typami murzyńskimi, ofiarowała się Casatiemu z tą samą usługą, bo właśnie wydaje on

teraz opis podróży swoich i badań etnograficznych nad Afryką.

— Szczęśliwy człowiek — pisze kapitan Camperio o Stanleyu, a trzeba przypomnieć sobie w dodatku, że urodził się on w niżkiej chacie walijskiej, dziecko nieszczęścia, które uboga matka musiała oddać chłopięciem na łaskę i niełaskę losu. Nie uśmiechnijcie się na to zdanie moje, iż może poszczęściło mu się tak z powodu, że umiał być zawsze dobrym synem dla tej biednej matki swojej wieśniaczki.

Już to Anglia jest krajem, gdzie ludzie wyższych zdolności szybko się posuwają po stopniach drabiny społecznej i dochodzą olbrzymich fortun. Tak np. Dickens, choć w innych, szczęśliwszych warunkach stanął do walki życia, zdobył sobie własną siłą sławę i majątek, a umierając zostawił w gotówce 93.000 funtów. Jedna powiastka kolendowa „Doktor Marigold”, przyniosła mu w nieobliczonych swoich przedrukach sumę, której liczbę wahać się napisać, bo możecie nie uwierzyć: 10.000 funtów... W tych czasach właśnie odbyła się tu licytacja rękopism Dickensa i Collinsa, otóż za rękopismo powieści Collinsa nie należącej bynajmniej do arcydzieł literatury angielskiej „Kobieta w bieli” zapłacił jakiś amator 320 funtów. Tennyson, jak słyszałem otrzymuje gwineję za każdy wiersz swoich poezji lecz przypomnieć tu sobie trzeba jakie przestwory świata mówią językiem angielskim, jakie przestwory świata czytają poangielsku? Ameryka gra wielką rolę w tych bajecznych conach angielskiej produkcji literackiej. W tych właśnie czasach Parnell otrzymał od jednego z księgarzy amerykańskich propozycję, aby przybył do Nowego Yorku i wygłosił tam, oraz w innych wielkich miastach Ameryki serię odczytów o Irlandyi, które by on jeden miał prawo drukować, a honorarium za nie będzie 75.000 dolarów. Parnell propozycję odrzucił, tłumacząc się brakiem czasu. — Mam dużo do roboty w domu... — odpisał szlachetnie, a rzeczywiście ten człowiek nigdy nie próżnuje.

W Irlandyi zastanawiano się w ostatnich czasach, czy proponowane w Anglii przebicie tunelu podmorskiego między Anglią a Wyspą Zieloną, nie byłoby dla sprawy irlandzkiej stratą, przez większe jeszcze ułatwienie stosunków. — Tak... odpowiedział Parnell, dodając, że wszystko co jako pomysł, dotyczący Irlandyi, wychodzi od Anglików, jest niewątpliwie niepożądanem dla Irlandyi. Dzienniki angielskie krzyknęły na niego, zowiąc go „człowiekiem dziwnym”, ale on przyjął rzecz spokojnie i nie odpisał na to nic. Projekt przecież rozbił się o ogromne koszty, jakichby wymagał, bo długość tunelu wynosiłaby 54 kilometry, a z tych 40 musiałoby iść dnem morza. I tak już cuda się dzieją w zakresie komunikacji, która zdaje się znosić dla człowieka przestrzenie. Telefon łączący Londyn z Paryżem, został z kolei połączony z Marsylią, i oto od Tamizy do Morza Śródziemnego, może głos ludzki korrespondować ze sobą. To, co ktoś wymówi w Londynie, usłyszy się w Marsylii, to jest o 200 mil geograficznych.

Ktoś mnie tu pytał w tych czasach, czy obok tych wszystkich cudownych odkryć i postępów, ludzkość jest lepszą i szczęśliwszą?..

Dla Anglii takie ułatwienie stosunków ma przecież znaczenie ogromne. Państwo to, największe, jakie istniało kiedy, liczące 9.000.000 mil kwadrat. ang., ma 400.000.000 mieszkańców, dochody roczne dają przeciętnie 210.000.000 funtów, a Anglik, jak to niedawno miało miejsce w parlamencie, oświadcza z dumą, że połowa handlu świata odbywa się pod flagą Anglii.

I pomyśleć tu, że siła, która wytworzyła całą tę potęgę, wyszła z jednej, stosunkowo niewielkiej, skalistej wyspy!

Czy nie pomaga tu tak zwany *kant* angielski — te surowe prawa moralności, to wielkie znaczenie domowego ogniska i siła opinii, która ciąży nad lekkomyślnym, nad szalonym? Że są w takim ogromnem mieście jak Londyn, trzęsawiska zepsucia, że są one i w wielkich ogniskach przemysłu angielskiego, przeczyć nie można, ale nieuniknione to skutki przyczyn, które rodzi materialna strona cywilizacji nowożytnej. Niemniej



idea moralna wysoko jest postawioną w społeczeństwie angielskiem i oto w tych dniach właśnie *Londyńskie towarzystwo moralności publicznej* wezwało przedsiębiorcę, który urządził wystawę osławionego obrazu „Nana” według powieści Zoli, o zamknięcie wystawy, bo inaczej zapożyczonym zostanie przez Towarzystwo o obrazę moralności. Może „Nana” będzie czas pewien figurować w jakiej otehlani zaułków Londynu, ale to zawsze co innego, niż jej cyniczne wystawienie w Paryżu.

W roku przyszłym odbędzie się tu wystawa wielkiego dla Anglii znaczenia: wystawa marynarki. Ze będzie to rzecz godna widzenia, wątpić nie można, a ciekawości, jakie mają być przedstawione, nietylko specjalistów zajmować mogą. Dzienniki piszą, iż stanie tam przed oczyma oglądających w całkowitym swoim układzie wyprawa do bieguna północnego, naturalnie, że w jej modelu; obok zaraz ukaza się szczątki nieszcześliwej wyprawy Franklina. Ma się tam znajdować także latarnia morska, wysoka na sto stóp; na sztucznej jeziorze będą pływać łodzie elektryczne, będą wybuchać torpeda, a dzienniki dodają, że tak królowa Wiktoria, jak książę Wali znacznym funduszem wesprą wystawę.

Wkrótce, bo w sierpniu, od 10 do 15, obradować tu będzie międzynarodowy kongres higieniczny. Na czele komitetu wystawy stoi książę Westminsteru, członkami są najpierwsze tutejsze siły kolegium lekarskiego. Spodziewać się należy, że i Warszawa przysła nam tu reprezentanta swojego. Już to podróżników naszych, których rok rocznie bywa takie mnóstwo w Paryżu, w Londynie rzadko zobaczyć można, choć z Paryża już podróż tu jest niedługa i tak ułatwiona, tak wygodna, że dziwić się trzeba tej nieciekawości turystów naszych, o których ludzie mówią, że ich pełno wszędzie.

Na przynętę podam wam wiadomość, że mamy tu mieć nowy jeden teatr, gmach pyszny, wspaniałej architektury: Teatr Opery Angielskiej. Dwór, a głównie książę Walii, bardzo proteguje tę operę angielską, której przeciw włoska stawia silną konkurencję. Artur Sullivan, najpopularniejszy i rzeczywiście utalentowany kompozytor; napisał z myślą o tej uroczystości narodowej operę z motywów miejscowych: „Ivanhoe”, przedmiot wzięty z romansu Walter-Scott’a. Jest to epoka Wojen Krzyżowych, epoka rycerska, więc nowa opera może posiadać poetyczność i dramatyczność. Czy to przecie jest rzeczywiście „opera angielska?” zapytać można. Motywa muzyki są tak szkockie, jak i tło — są więc w gruncie rzeczy gallickie, nie angielskie — nie anglosaxońskie, i nawet dzienniki edynburskie coś o tem szepnęły.

W teatrze „Lyceum” przedstawiono temi czasami tragedję Jerzego Merivale, także z motywów Walter-Scott’a, z motywów szkockich: „Łucya z Lammermooru”. Gra w niej najpierwszy tutejszy tragik, Henryk Irving, ale, podług mnie, nie jest on bynajmniej wielkim aktorem. Grając przeważnie kreacje szekspirowskie, wyrobił sobie pewną manierę, której pathos nie daje mu być nigdy naturalnym. Już to teatr angielski niema ani jednej osobistości, którą możnaby równać z waszą Modrzejowską. Czarodziejka to, jakiej równej niema obecnie w całej Europie. Rachela i Modrzejowska, to w dramacie ostatnich czasów dwie niewieście znakomitości jedyne. Zapowiadają nam tu cud piękności i talentu, Angelę Santo, z Kalifornii rodem, która ma wkrótce przybyć do Londynu i wystąpić w trzech rolach szekspirowskich kobiet: Julietty, Desdemony i Kordelii. W następnym liście zdam wam sprawę, czy odpowiada sławie, jaka ją poprzedza, a może ujrzenie ją samą w Warszawie, bo się wybiera w objazd po całej Europie. Zazdroszczę, nie wam przecie, że ją ujrzenie, bo jeszcze gatunku talentu jej nie znam, a obok tego zobaczę ją pierwej, niżeli wy, ale zazdroszczę jej — że was widzieć będzie...

Henryk.

## Z WIEDNIA.

W Maju 1891 r.

Mamy wiosnę w całej pełni: to też uroczystość kwiatowa w Praterze odbyła się wspaniale, a co najważniejsza, spokojnie.

Dziesiątki tysięcy spacerowiczów i setki ekwipaży złożyło się na to prawdziwe *święto wiosenne*. Ludek zabawiał się po swojemu na huśtawkach i karuzelach, *beau monde* wiedeński napałwał się świeżym powietrzem i cudnym widokiem rozbudzonej przyrody, flirtowano, śmiano się, rzucano kwiaty, jak za najlepszych czasów. A czy te czasy obecnie istnieją, to inna rzecz, lecz istnieje w Wiedniu zawsze *Gemütlichkeit* a to najważniejsze... bawimy się jak za najlepszych czasów!

Wiedeń nie posiada dotąd odpowiedniego Ogrodu Zoologicznego, jakie stanowią prawdziwą ozdobę wszystkich stolic europejskich. Szkoda wielka, że tak nieszcześliwie się powiodło warszawskiemu, boć może nigdzie nie da się tak zastosować *utile dulci*, jak do ogrodów zoologicznych, w których można z prawdziwą rozkoszą i korzyścią spędzić kilka godzin wolnych od nauki i pracy codziennej. Obecnie mieszczą się tu zwierzęta, i to w niezbyt okazałej ilości i jakości, w klatkach ogrodu Schönbrunńskiego.

Otóż w ostatnich czasach powstał projekt, który w niedalekiej już przyszłości ma być wprowadzony w czyn.

Utworzyło się towarzystwo w celu założenia wielkiego ogrodu zoologicznego. Ma on być urządzony w wielkim stylu i przewyższać nawet wszystkie dotąd istniejące, albo przynajmniej pod względem przepychu im dorównać. Mieścić się ma w Kaisergartenie.

Professor historii naturalnej Knauer wydał w tym celu broszurę, w której dowodzi, że istniejący obecnie ogród zoologiczny a raczej menażerya w Schönbrunn nie odpowiadają już zgoła potrzebom Wiednia.

Według niego, ogród zoologiczny w wielkim mieście nie powinien być zakładem spekulacyjnym w ścisłym znaczeniu tego słowa, lecz dawać powinien przede wszystkim korzyść, a następnie stanowić przynętę dla przyjezdnych. Co się zaś tyczy kwestyi pieniężnej, to z chwilą, gdy ogród urządzony zostanie według dzisiejszych wymagań i stanu nauki, nie ma obawy o deficyt a w interesie każdego miasta leży posiadanie pięknego zoologicznego ogrodu.

W dalszym ciągu swej broszury przytacza prof. Knauer koszty urządzenia, których tu przytaczać nie będziemy, a wspomnieliśmy o projekcie tym głównie dla tego, że i Warszawa w obecnej chwili znajduje się pod tym względem w fazie przejściowej, i że byłoby prawdziwą szkodą, gdyby zawiązek obecnego ogrodu w „Bagateli” poszedł na marne.

Od tygodnia odbywają się na torze wiedeńskim wyścigi, których ludność tutejsza jest wielką zwolenniczką. Na jednym z ostatnich wydarzył się wypadek, który jedynie szczęśliwemu zbiegowi okoliczności zawdzięcza, iż obeszło się bez groźniejszych następstw. W kłusowym biegu na dwukółkach, przed samą trybuną prawie, koń skręcił na baryerę, za którą stało wiele publiczności. Dwukółka została zdruzgotaną, jeździec wyleciał z siodła a publiczność na szczęście zdolała cofnąć się, jeden tylko pozabaryerowicz odniósł nieznaczny szwank.

Teatra wiedeńskiego z powodu licznych i interesujących nowości są zawsze licznie uczęszczane. Po gościnnych występach p. Judic w teatrze Karola, nastąpił szereg występów głośnego tragika włoskiego Ernesta Rossi, cieszących się wielkimi i ze wszech miar zasłużonym powodzeniem. Aktor to dobrze znany w całej Europie, miała i Warszawa przed kilkunastu laty okazję zachwycić się jego Ottelem, Romeem, rolą w „Śmierci cywil-

nej” i t. p. Od owego czasu zestarzał się, lecz pozostało w grze jego jeszcze dużo oryginalności, zapалу prawdziwie młodzieńczego i tego, „coś” co zawsze przyciąga tłumy. Przedstawił się w paru nowych, genialnie pomysłanych kreacjach.

Niezwykłym powodzeniem cieszy nowa opera, młodego włoskiego kompozytora, wystawiona po raz pierwszy w wiedeńskiej Operze. Zgaduje zapewne czytelnik, że mam tu na myśli „Cavalleria Rusticana” operę w jednym akcie, której libretto wysnute zostało przez pp. Targioni-Tozzetti i Menasci ze sztuki ludowej, noszącej takżsam tytuł, G. Verga; muzykę prześlizną do niego napisał włoski kompozytor Piotr Mascani, którego nazwisko, pomimo młodych lat (liczy 25 lat) głośnem się już stało w całym świecie muzycznym.

Muzyka Mascaniego, jakkolwiek pisana w stylu odrodzenia, opartą jest na szerokich i pięknych melodyach i pod tym względem przypomina dawniejszych, prawdziwie złotej epoki, mistrzów włoskich. Nie napróżno zatem zawołał podobno stary Verdi, przejrzaawszy partyturę „Cavallerii”: „teraz mogę spokojnie umrzeć” w każdym razie *Se non e vero e ben trovato*. Mascani jako kompozytor posiada bez kwestyi wielki i silny instynkt dramatyczny. Excentryczność przejawia się w jego utworze rzadko i to nigdy bez koniecznej potrzeby. Znać, że to, co skomponował, przeżył i odczuł, i dla tego akcenta cierpienia, padają zawsze na właściwy ton...

Pomijamy szczegółowy opis pojedynczych numerów opery, powiemy tylko, że od introdukcji do finału muzyka jest prześlizną, porywa sobą słuchacza bezustannie. Instrumentacja odpowiada najzupełniej momentom akcji na scenie i sprawia niezwykle wrażenie. Wystawa i wykonanie pod dyktando kapelmistrza Jahna były ze wszech miar zadowalniające.

Jest to w każdym razie utwór, zasługujący na to, aby dyrektor Rzebiczek jak najprędzej go wystawił na scenie warszawskiej, a o powodzeniu i wątpić nie można.

Nie można tego powiedzieć o nowym dramacie Ryszarda Vossa, wystawionym ostatnio w tutejszym Teatrze Ludowym, chociaż sprawił on na publiczności silne wrażenie i osiągnął przychylną dościsłą ocenę. Nosi on tytuł „Winny” (Schuldig). Znajdą się prawdopodobnie amatorzy, pragnący przyswoić dramacisko to naszej scenie; z przytoczenia jednakże samej treści przekona się czytelnik, iż na zaszczyt ten wcale ono nie zasługuje.

Tomasz Lehr skazany został przed dwudziestu laty na dożywotnie więzienie za morderstwo z rabunkiem. Tymczasem w hotelu, zeajdującym się w temsamem mieście, w którym Lehr odsiadywał karę, pewien Amerykanin zeznaje *in extremis*, że on jest sprawcą zbrodni, a Lehr cierpi niewinnie. Po dwudziestu więc latach, wydarty młodej żonie, dzieciom i światu, wraca nieszcześliwy skazaniec do domu, lecz nie zastaje tego, czego znaleźć pragnął. Zarówno żona jak i dzieci żyją w zupełnej rozterce z cnotą, uczciwością i skromnością. Dowiedziawszy się o wszystkim Lehr morduje swoich siekierą, z niewinnego więźnia staje się *winnym* mordercą. Spędzenie dwudziestu lat w więzieniu niewinnie, zmusiło go do popełnienia zbrodni, gdyby bowiem nie został pozbawiony możliwości opiekowania swą rodziną, nie byłaby upadła na najniższy szczebel ohydy ludzkiej!

Treść sama sztuki pokazuje, że szczególnie po wystawieniu na scenie warszawskiej „Honoru” Sudermanna, byłby ten *szuldig* już najzupełniej zbyteczną, a nawet wprost chybioną... bombą, a to tembardziej, że posiada wiele błędów zarówno pod względem budowy scenicznej, jak i momentów psychologicznych. Do powodzenia sztuki przyczyniła się niewątpliwie świetna gra panny Sandrock, która wykazała w podjętej roli cały swój talent dramatyczny. Jest to aktorka, która obok Karoliny Wolter budzi w świecie teatralnym tutejszym najwyższe zainteresowanie.

Mamy tu także obecnie kilka wystaw artystycznych, z pomiędzy których na wyróżnienie zasługuje wystawa obrazów w Künstlerhausie a w niej polscy malarze wcale niepodrzedne zajmują miejsce.



Miejsca kuracyjne austriackie cieszą się na myśl o przybyciu kuracjuszy i letników, napełniających im wiele zarobku w postaci nikłych guldeników.

Prawda, że okolice Wiednia są przecudowne, że niedaleka Karyntya wabi swym górskim klimatem, pragnących odpoczynku i kuracyi. Lecz proszę mi wierzyć, że jeżeli nie to samo, to przynajmniej coś wielce podobnego, a znacznie tańszego, osiągnąć można także u nas w Ciechocinku, Busku, Nałęczowie, wreszcie w uroczych Karpatach. Alpy są bez kwestyi piękniejsze, ale za to piękno zbyt słono każą sobie płacić. A zatem: do widzenia w jednym ze zdrojowisk krajowych!

G.

## PIOTRUŚ.

(NOWELKA.)

Był prześliczny majowy dzionek.

Ogniste słońce, powoli przesuwał się po przejrzystej, bladolazurowej kopule niebios, oblewał ziemię potokami jasnego światła.

Kilka srebrnych chmur cieniuchnych jak pajęczyna szybko posuwało się ku zachodniemu skrajowi horyzontu.

Powiewał ciepły wietrzyk nasycony zapachem kwitnących bzów, owocowych drzew i kwiatów.

Cała ziemia w swym najpiękniejszym stroju odychała szczęściem i spokojem, a ukryci w łąkach, lasach i polach skrzydlaci śpiewacy na różne tony wyśpiewywali jedną wielką świętą pieśń miłości.

Było już prawie południe i słońce zaczynało piec nieśmiernie, kiedy przed wysoko oparwanym, szczelnie ze wszech stron zamkniętym dworem, znajdującym się o trzy wiorsty od Hrycowa, brudnego wołyńskiego miasteczka, zatrzymał się stary zapyłony wózek, ciągnięty przez białą dychawiczną szkapę i z niego wysiadł niemłody już, o nieprzyjemnym wyrazie twarzy, trochę pijany mężczyzna.

Małe, krwią zaszele jego oczy patrzyły pośpiechu z pod gęstych, krzaczystych brwi; z pośród czerwonych, jakby nabrzmiałych, policzków świecił granatowy prawie nos, świadczący o przyjaźnielskich stosunkach swego posiadacza z kieliszkiem; siwe gęste włosy w nieładzie spadały na niskie czworokątne czoło a rzadkie, szczeciaste, żółtawe wąsy zwisały nad szeroko rozciętymi wargami, z poza których znowu ukazywały się duże, jeszcze zdrowe zęby.

Przybysz był ubrany w długą sukienną kapotę, białe płóciennie spodnie i w duże niezgrabne buty; na głowie miał granatową wypłowiałą czapkę; w ręku trzymał niewielki batóg.

— Co u dyabła — rzekł, podchodząc do bramy i zlekka się zataczając, czy zamknięta? A tak, dodał pochwili, — silnie ją popchnąwszy, zamknęła. Co to może być takiego? Pospali się, czy co? Z temi słowami przybyły rozpoczał znow szturm do zamkniętych drzwi. Na ten raz nie bezskutecznie.

Z wnętrza rozległo się najpierw głośnie szczekanie, potem tupotanie bosych nóg, a za chwilę ponad wysokim parkanem ukazała się mała jasnowłosa główka z wystraszonemi, rozszpanemi, błękitnemi oczami.

— Ach to wy, tatku — wyszeptało dziecko z akcentem przerażenia w głosie; zaraz, zaraz; natychmiast otworzę. Ciotka poszła do Hrycowa i kazała mi wszędzie pozamykać drzwi, więc ja...

— Patrzajcie, — przerwał gniewnie stary, on tu mi jeszcze będzie gadać. Otwieraj zaraz! poczekajno, skroję ja tobie kurtę! Będziesz ty mi się wylegiwał po całych dniach. Co ty myślisz sobie? Czy tobie może się zdaje, że ja powinien czekać na ciebie?...

Chłopiec milczał jak trusia i tylko słysząc było jego śpieszny, wysilony oddech. Za chwilę brama otworzyła się ze skrzypem i Paweł Bielecki, bo tak się nazywał nasz podróżny, wszedł na dziedziniec.

— Chodź tu — krzyknął groźnie na chłopca.

— Tatku, ja więcej nie będę — wołało przestraszone chłopię, składając błagalnie swoje małe, brudne ręce, ja więcej nie będę spać, tatku!

— Chodź tu zaraz!

Dziecko nie ruszało się z miejsca. Z jego dużych, z przerażeniem patrzących się na ojca, oczu spływały jasne, wielkie jak groch łzy.

— Tatku — powtórzyło raz jeszcze.

Małe oczki Bieleckiego zabłysły wściekłością.

— Słyszysz, chodź zaraz — wyszeptał jakimś zwierzęcym przyciszonym głosem.

Wybladły chłopiec postąpił kilka kroków.

Wtedy Bielecki podniósł batóg i z jakąś dziką radością uderzył go raz, drugi, trzeci.

Chłopiec zaczął głośno płakać.

Bielecki tupnął nogą.

— Zamilczysz ty, czy nie? Mało z ciebie? A może jeszcze chcesz? No dosyć tego. To, powiadasz, ciotka poszła do Hrycowa?

Chłopiec otarł łzy i przerywanym nabrzmiałym jeszcze od płaczu głosem zaczął: tak, tatku, do Hrycowa.

— Dawno?

— Zaraz, jak tatko pojechał.

— A czego?

— Nie wiem, tatku.

Bielecki z gniewem się odwrócił.

— Wiecznie gdzieś baba łązi, — szepnął. Ej ty, krzyknął, zwracając się do chłopca, odpręż mi konia, zaprowadź go do stajni, daj mu siana i zamknij bramę; słyszysz?

— Słyszę, tatku.

Z temi słowami Piotruś wybiegł za wrota a Bielecki, zlekka się zataczając, poszedł do dworku.

Paweł Bielecki mieszkał w tych stronach od samego swego urodzenia; tu mieszkali jego rodzice, dziadowie, pradziadowie, ba może nawet i prapradziadowie. Dworek na wygonie, bo tak go nazywali okoliczni mieszkańcy, stanowił odwieczną posiadłość rodziny Bieleckich. Był to wcale niezły kawałek ziemi z łąką, ogrodem, stawkiem — co wszystko razem dochodziło do 30 morgów żyznej wołyńskiej ziemi.

W czasie, o którym mówimy, Bielecki miał około 40 lat. Był to człowiek namiętnego, gwałtownego temperamentu. Temperament ten, objawiający się w nim jeszcze w dzieciństwie, z wiekiem rozwijał się zastraszająco. W trzydziestym trzecim roku swego życia Bielecki się ożenił, i zdawało się, odmienił na lepsze. Biedna jednak jego żona — Marya nie długo żyła. Urodziny Piotrusia były zarazem jej śmiercią. Po śmierci żony Bielecki zdziaczał zupełnie i zaczął pić. Piotrusia, którego uważał za przyczynę śmierci żony, nienawidził serdecznie. Dopóki był trzeźwy, wstrzymywał się, lecz popijaniem bił go ile razy nieszcześliwy chłopiec podwijał mu się pod rękę. I napróżno wtedy brała go pod swoją opiekę, prowadząca w domu Bieleckiego kobiece gospodarstwo, jego rodzona siostra Zofia, wdowa po ekonomie Jasińskim; kończyło się na tem, że dostawali oboje. Łajania i razy ciągnęły się dopóty, dopóki zmęczony i rozmarzony trunkiem Bielecki nie rozciągał się gdzie na ławie lub pod ławą. Wtedy dopiero Zofia brała płaczącego Piotrusia na kolana, całowała go i pieściła. „Biedna ty, sierotyno“ — szeptała, tuląc go do swej szerokiej piersi, „złe ci na świecie bez matki, oj źle! Lepiej-by ci było, robaczkę, na świat ten nie przychodzić! Lepiej by ci było, detyno ty moja, *szczęznąć*, aniżeli tak się tyrać! Ot zjedz przynajmniej sobie“. Tu mu wsuwała do ręki kawał piernika, parę fig lub garść orzechów. Chłopiec uśmiechał się przez łzy, jadł i powoli się uspakajał...

Ojca bał się okropnie.

Miał już lat siedm.

Było to wątłe chłopię z dużemi błękitnemi oczyma, wiecznie zamurzaną twarzą, jasnymi włosami, małym kształtnym noskiem i czer-

wonemi usteczkami, z poza których wyglądały drobne rzadkie zęby.

Ubranie jego stanowiła prawie czarna od brudu koszula, radniane spodnie, ściągnięte pasem; głowę okrywał okrągły słomiany kapelus. Zablocone nogi były pozbawione obuwia, bo obuwie Piotruś dostawał tylko na zimę.

W chwili kiedy Bielecki po wielu kołowaniach, dobrnąwszy do łózka, wygodnie się na niem rozlegiwał, Piotruś wprowadzał na dziedziniec zmęczoną szkapę.

Z trudnością wyprzegł konia, zaprowadził do stajni i zarzucił mu za drabinę wiązkę wonnej dopiero co skoszonej trawy; potem uprzątnął uprząż, zamknął szczelnie bramę i dopiero wtedy ośmielił się na palcach podkraść się pod drzwi dworku.

Przystanął i słuchał.

Bielecki chrapał w jaknajlepsze, przebiegając wszystkie tony chromatycznej gammy.

Piotruś uśmiechnął się.

— Śpi — szepnął.

Za chwilę biegł już po podwórzu.

W wesołych podskokach, rozpędzając czubate kury, stada szarych płochliwych wróbli i białych jak śnieg gołębi, dobiegł do przełazu, prowadzącego do ogrodu i jednym susem przesadził go; upadł, bo biegnący za nim czarny, kudłaty pies kruczek wsunął mu się pod nogi.

Powstał natychmiast i głośno roześmiał się, ale wnet twarzyczka jego spochmurniała, zamilkł i trwożliwie spojrzał ku dworkowi.

Tam wszystko było cicho, spokojnie.

Uspokoił się i pobiegł dalej.

Kruczek biegł za nim.

Pośrodku prawie ogrodu na małym pagórku stało kilka wielkich starych grusz.

Pod nimi Bielecki stawiał zawsze kilkanaście uli.

Przy nich także tylko więcej ku środkowi stało parę niewielkich beczulek i wielki szklany butel octu, który Bielecki przygotował w domu dla sprzedaży hrycowskim żydom.

Ku tym właśnie gruszom biegł chłopiec.

Lubił on zpod nich przypatrywać się latającym pszczołom, ptakom, kolorowym chmurkom; lubił on wciągać w siebie balsamiczną woń, unoszącą się zwykle w pasiekach.

Ot i dzisiaj, korzystając ze snu ojca, przybiegł tutaj, aby trochę sobie poleżeć.

To była taka przyjemna rzecz.

Położył się i patrzył.

Najpierw uwagę jego zwrócił dworek.

Niewielkie jego szybki świeciły jakby jakie słońca.

Skrzyły i sypały iskry.

Chłopiec przymrużał oczy i później raptem szeroko je otwierał, bawiąc się kontrastem pomiędzy ciemnością a światłem.

Po chwili to go znudziło.

Zaczął łapać ręką okrągłe drżące plamy, które kreśliły na ziemi słoneczne promienie, przeciskające się przez poplątane gałęzie starej gruszy.

Plamy nie dawały się złapać.

Dał im więc za wygraną.

Natomiast schwytał kruczka za długi puszysty ogon i zaczął go kręcić.

Kruczek warknął.

Piotruś puścił ogon i zamyslił się...

Przeszło kilka chwil.

Ponad gruszami przebiegł wiaterek, zerwał kilka bladoróżowych kwiatów i uderzył nimi w twarz chłopca.

Piotruś się nie ruszał.

Było cicho.

Polne koniki sykali na różne tony.

Od czasu do czasu głośno odzywała się zabka drzewna.

Słysząc było jakiś nieokreślony szelest, powstający od ruchu tysiącznych drobnych muszek, żuczków, mrówek i innych niezliczonych owadów.

Wonne powietrze zdawało się, że drży od gorąca.

Piotruś wciąż leżał.

Nagle całe ciało chłopca drgnęło.

Błękitne oczy zabłysły ciekawością.



Na sąsiedniej gruszy usiadł duży jasno-żółty ptak.

Piotruś już nieraz widział wilgę, ale nigdy z tak blisko.

Ptak widocznie nie zauważył obecności chłopca, bo zeskakiwał coraz to niżej i niżej.

— Och, żeby jego złapać, myślał sobie Piotruś, och, żeby to jego jak złapać!

Naraz wzrok jego padł na kawałki cegły, które Bielecki poznał do podpierania ulów.

— Oto doskonale — wyszeptał, i ostrożnie schwywszy najbliższy, przykleknął na jedno kolano.

Za chwilę z siłą wyrzucony kamień zawarczał w powietrzu.

Spłoszona wilga frunęła.

Kamień uderzył w drzewo i, odskoczywszy, upadł na szklany butel.

Cienkie szkło z brzękiem pękło i ocet polał się strumieniem.

Ostra woń rozeszła się naokoło.

Piotruś zerwał się na równe nogi.

Ogromne przerażenie malowało się w jego oczach.

Był blady jak trup.

Naraz krzyknął i zaczął uciekać.

Kruczek ze szczekaniem poskoczył za nim.

Do końca ogrodu Bieleckich przylegał niewielki błotnisty stawek. Był on prawie cały zarośnięty osoką, wysokim oczeretem, czerwonym odestem, wodną strzałką i białą babką, w kilku jednak miejscach świecił jeszcze modrą, skrzącą się na słońcu wodą.

Staw rozgraniczał maleńką posiadłość Bieleckich od ziem pana Hryniewskiego, posiadacza wielu dóbr na Wołyniu i Podolu.

Ze strony Bielukich brzegi jego były zarośnięte przez wielkie stare wierzby, dzikie bzy, łopuchy, ciemno-zielone pokrzywy, dające schronienie tłumom rozmaitego rodzaju ptasząt; ze strony p. Hryniewskiego do niego przylegał w jednej części piękny stary dębowy las, z drugiej znowu zasiane zbożem, jasno zielone, z lekka falujące od wiatru, duże, zda się, niezmiernie pole, na końcu którego hen, hen gdzieś aż na samym skraju horyzontu zadzierzgnięte sinową mgłą ciągnęły się ciemne masy lasów i skrzyły złociste krzyże.

Ku tej stronie biegł Piotruś.

Zdawało mu się, że słyszy za sobą groźny dobrze sobie znany głos.

Biegł coraz to prędzej.

Kruczek z wywieszonym czerwonym jak krew językiem i zagiętym do góry ogonem, to zostawał w tyle, to znowu kilkoma susami wyprzedzał go.

Za chwilę nadbrzeżne zarośla gwałtownie się rozsunęły.

Spłoszone ptactwo frunęło.

Dwie dzikie kaczki zerwały się i, silnie bijąc skrzydłami, poleciały ku lasowi.

Kilka zielonych żab niezgrabnie jakoś ciężko wskoczyło do wody.

Zadyszany, zmęczony Piotruś prawie bez władu upadł na ziemię.

Maleńkie jego serduszko biło gwałtownie.

Febryczny dreszcz wstrząsał całym jego wątłym ciałkiem.

Drobne ząbki dzwoniły, jakby od wielkiego zimna.

Przytulił oddech i słuchał.

Nie dochodził go żaden podejrzany odgłos.

Wtedy załamał ręce i rozplakał się spazmatycznie.

— Tatko — szeptał, tatko, o ja nieszczęśliwy! Co ja teraz zrobię?

I znowu groźna postać ojca z najeżonymi od gniewu wąsami, z błyszczącymi, maleńkimi oczkami stanęła w jego rozgorączkowanej, dziecięcej wyobraźni.

Rozplakał się jeszcze silniej.

Tymczasem kruczek, wpadłszy w zarośla razem z Piotrusiem, najpierw szczeknął na zrywające się kaczki, potem popatrzał na skaczące do wody żaby, obwąchał wszystkie krzaki, podniósł nawet swój organ powonienia do góry a nie znalazłszy nic godnego uwagi, spojrzał pytająco na swojego młodego pana.

Ale pan jego płakał.

Wtedy kruczek zbliżył się do niego powoli i uderzył go łapą.

Piotruś nie ruszył się nawet.

To zastanowiło kruczka.

Wstał, obszedł Piotrusia dokoła, następnie powąchał i wreszcie, jakby powziąwszy jaką stałą decyzję, pucnął go kilka razy nosem w twarz.

Piotruś drgnął i obrócił się.

— Kruczku, zawołał, obejmując jego ciemną kosmatą szyję, kruczku, tatko zbije!

Kruczek przyjacielsko machnął ogonem; liźnął parę razy zapłakaną twarzyczkę chłopca, wreszcie zupełnie zadowolony z siebie rozciągnął się na ziemi i położywszy swą wielką kudłatą mordę na przednich łapach od czasu do czasu kłapał zębami, starając się złapać dokuczające mu muchy.

Chłopiec powoli się uspokajał.

Jego łkania stawały się coraz to rzadsze i wreszcie ustały zupełnie.

Siedział nieruchomo i patrzył.

Giętkie zielone gałązki wierzby zwieszały się nad jego głową.

Powiewał ciepły, niepozbowiony jednak pewnego chłodu wietrzyk.

Z wody wyglądały kwaczące, o dużych wypukłych oczach żaby. Pomiędzy nimi szybko przesuwały się, kreśląc rozmaitego rodzaju zygzaki, czarne metaliczne połyskujące żuczki; niżej widać było srebrzyste o czerwonych oczach i skrzepkach płotki, lub też żwawe, nakrapiane, w kolece uzbrojone okońki; jeszcze niżej przejrzysta woda pozwalała oku widzieć czarny delikatny namiot dna, usypanego skorupami ślimaków.

Zdaleka dochodziło ciche gdakanie wodnych kurek i łysek.

Oczy Piotrusia z wolna się sklejały.

Zmęczone dziecko potrzebowało spoczynku.

Jeszcze chwila i oto do szmeru wiatraku, szelestu liści i bulkotania wody przyłączył się miarowy spokojny oddech chłopca.

Spał.

A spał tak mocno, że nie słyszał nawet, jak kruczek, zaniepokojony jakimś szelestem, zerwał się ze szczekaniem i pobiegł ku dworowi.

Chłopiec pozostał sam jeden.

Tymczasem godziny szybko przebiegały.

Słońce coraz to niżej spuszczało się wreszcie zapadło za poblizki bór i od czasu do czasu tylko cienkim złotym promieniem przebijało ciemno-zieloną gęstwinę drzew.

Miękki błękit nieba ustępował miejsce przepysznym początkowo jasnym a później coraz to ciemniejszym purpurowym tonom.

Zerwał się wieczorny chłodnawy wiaterek.

Drzewa zaszumiały.

Niewielkie stada kawek i dzikich kaczek szybko ulatały, kierując się ku zachodniej stronie horyzontu.

Żaby zaczynały swój zwyczajny wieczorny koncert.

Odezwał się słowik.

Śpiący do tego czasu chłopiec lekko się poruszył raz, drugi; odemknął oczy, zamknął i znowu odemknął.

Przeciągał się.

Nagle drgnął i podniósł się.

Od strony dworku dobrze znany gniewny głos wołał na niego: Piotruś, hej, Piotruś!

Pod chłopcem zadygotały nogi.

Przypomniał wszystko.

Schylił się, wyciągnął głowę i słuchał.

— Piotruś, Piotruś! — zabrzmiał głos już w ogrodzie. Gdzie ty się chowasz? szelmo! łotrzel! łajdakul!

Głos brzmiał coraz gniewniej i coraz bliżej.

Nastąpiła chwila milczenia.

Nagle od strony pasieki posypały się przekleństwa i łajania: Popadnij-no mi się tylko, szelmo w łapy. Ja ci wygarbuję skórę; pasy będę drzeć! Zabiję, zarżnę, powieszę!

Zimny pot oblał przerażonego chłopca.

Wszystka krew przybiegła do serca.

Tysiące myśli, strasznych myśli zawirowało w biednej małej dziecinnej główce.

Przypomniał wszystkie razy, łajania; widział gniewną czerwoną twarz ojca i zadrżał całym ciałem.

Co robić? co robić?

I naraz w wyobraźni dziecka z zadziwiającą jasnością powstał obraz jednego znajomego chłopca z sąsiedniej wioski Iwasia Myszkę. Iwaś ten na rok przedtem, kąpiąc się w stawku, niechcący trafił na głębsze miejsce i utonął. Piotruś był przy tem, kiedy z wody wyciągnęli trupa biednego Iwasia. Był on także i przytem, kiedy na wieść o śmierci syna przybiegł z pola ojciec jego stary Taras. Z zadziwieniem Piotruś widział, jak stary Myszkę nie tylko nie bił i nie łajał Iwasia, z którym poprzednio obchodził się zwykle bardzo surowo, ale odwrotnie płakał i całował zimne już i zastygłe jego ciało. Całe to zajście w swoim czasie wywarło na Piotrusia nadzwyczaj silne wrażenie. I oto teraz znowu powstało ono w jego pamięci.

Nie wychodziło z niej.

Tak, tak. On także się utopi.

Podbiegł wtedy ojciec już go nie wybije. Owszem może nawet jak stary Myszkę pożałuje go i popłacze nad nim.

Podbiegł do stawu.

Pod wierzby było już zupełnie ciemno.

Nachylił się.

Przed nim błyszczała porysowana odbijającymi się sylwetkami drzew i krzewów drżąca stalowego koloru woda.

Ciepły opar podejmujący się z niej owionął go jakoś pieszczotliwie, pomacierzyńsku.

Chłopiec nachylił się jeszcze niżej.

Nagle wydało mu się, że słyszy czyjeś ciężkie spieszne kroki.

Skoczył.

Ciemne fale rozeszły się i znowu się zeszyły.

Rozległ się plusk jeden, drugi później, trzeci słabszy.

Kwaczące żaby przycichły.

Po wodzie rozchodziły się wielkie koła.

Przeszła chwila.

Żaby zaczęły znowu skrzeczeć.

Słowik śpiewał.

Na ciemnym niebie błysnęło kilka srebrnych gwiazdek.

Łajania i przekleństwa zabrzmiały tuż, około stawu.

Ale Piotruś już ich się nie bał.

Nie żył.

Bolesław Markor.

## Z bieżącej chwili.

— Wystawa francuska w Moskwie została otwartą. Nie ogranicza się ona do działów rękodzielniczych i przemysłowych tylko, mieści się tu i sztuka; wystawa obrazów jest znaczna.

— Ministerium spraw wewnętrznych wydało nowe przepisy o karach dyscyplinarnych na niewypłacalnych dłużników, osadzonych w więzieniu.

— Na doroczny odpust w Częstochowie w dzień Zielonych Świątek, pośpieszyło z Warszawy dwoma pociągami spacerowemi 1.600 osób.

— Sale zarobkowe Staszica, otwarte na lat trzy sposobem próby przy szpitalu Wolskim dla osób, przychodzących do zdrowia: 30 mężczyzn i 30 kobiet, otrzymały zatwierdzone na rok bieżący etat. Dochód stały tej instytucji z procentu od summ zapisanych, jest 9,125 rs., wydatek obliczono na 9.891 rs.

— Komitet pomnika Moniuszki, na którego wzniesienie dostarczył, jak wiadomo, funduszu Mierzwinski, ogłosił, iż miejscem, w którym stanie, będzie nisza środkowego okna w foyer teatru, które zostanie w tym celu odpowiednio przemurowane. Figura Moniuszki, marmurowa, ma być wielkości naturalnej, w postawie siedzącej; na piedestał może być użytym bronz. Termin składania modeli z gipsu lub gliny do dnia 1-go października r. b. Miejsce ich nadsyłania: redakcyja



Kuryera Warszawskiego; nagroda pieniężna od 150 do 200 rs. Na koszt pomnika złożył Mierzwiński 3.000 rs.

— Ma powstać w mieście naszym nowa instytucja: schronienie dla ludzi sędziwych z klas inteligentnych, posiadających fundusze na utrzymanie, lecz niemających odpowiedniej opieki. Wiek pensjonariuszów od lat pięćdziesięciu, liczba osób wyznaczona około stu, z tych, jeżeli znajdą się fundusze odpowiednie, 25 bezpłatnie.

— Projekt wysyłania przez kolej nadwiślańską pociągów spacerowych do Gdańska nie otrzymał zatwierdzenia ministerium komunikacji. Lecz kolej malborsko-mławska, jak donosi *Kuryer Warszawski*, zawiązawszy bezpośredni stosunek komunikacyjny z koleją nadwiślańską, w zastosowaniu się do jej rozkładu jazdy, poczyniła wszelkie ułatwienia dla osób, pragnących użyć spacerowej wycieczki do Gdańska. Osoby kupujące bilety powrotne od Ilowa do Gdańska, otrzymają obniżenie ceny o pięćdziesiąt na sto.

— Od d. 14-go maja Nowa Praga została oświetlona gazem. Otrzymała 75 latarni.

— W Łodzi otwartą będzie wkrótce wystawa ogrodnicza. Pozwolenie już otrzymane zostało i zarząd przyszłej wystawy zwrócił się do Warszawskiego Tow. Ogrodniczego z prośbą o zajęcie się wystawą. Towarzystwo Ogrodnicze chętnie przyjęło projekt i zajęło się już czynnie jego urzeczywistnieniem.

— Radomskie Tow. Dobroczynności otrzymało zapisu 10.000 rs.

— Sale pracy dla ubogich dzieci w Kaliszu rozwijają się bardzo szczęśliwie. W dwóch obszernych salach lokalu Taniej Kuchni zbiera się ich codziennie 30, a to 18 dziewcząt i 12 chłopców. Dziewczynki uczą się szyć, cerować, naprawiać odzież i bieliznę, robót szydełkowych, oprócz tego codziennie jedna z pomiędzy nich zajęta jest w kuchni, co znaczy, że dziewczęta te obznajmianą się ze sposobem porządnego, racjonalnego gotowania potraw prostych, co ma znaczenie nie małe w rodzinie rzemieślniczej, gdyż często dziewczęta z tych klas, pracując od lat bardzo młodych za domem, nie są obeznane z tem zajęciem, co po ich wyjściu za mąż odbija się na dobrobycie ich domowym. Chłopcy uczą się koszykarstwa, plecenia słomianek, a wkrótce rozpoczną naukę wyrabiania dywanów z krajk. Praca trwa od 8-jej rano do 12-jej w południe. Potem następuje czas wolny aż do godziny wpół do drugiej, w którym-to czasie dzieci dostają obiad z Taniej Kuchni; następnie wracają do pracy, która trwa do godziny 5-jej. Jak pożyteczną jest instytucja sal pracy dla dzieci, — dowodzić nie potrzeba i Kalisz dał tu przykład godny naśladowania nie tylko miastom, ale i wsiom w tych czasach, gdy roboty letnie wywołują rodziców i całą niemal ludność starszą do pracy w pole. Łączyć by się z tem mogły żłobki dla niemowląt, pielęgnowane przez starsze dziewczynki, siostry, pod nadzorem jednej sędziwej kobiety. Inicytorem, oraz w części znacznej wykonawcą urządzenia wspomnianych sal w Kaliszu, jest dr. Felix Drecki, którego nazwisko zostaje od tej chwili zapisane między nazwiskami ludzi dobrze zasłużonych społeczeństwu.

— Warszawskie towarzystwo ratowania tonących postanowiło rozszerzyć stacyą ratunkową na Wiśle. Towarzystwo liczyło w czasie ostatniego sprawozdania z czynności swoich, 53 członków i posiadało 3.007 rs. kapitału. Szkoła pływania zostająca pod kierunkiem p. Kozłowskiego jest już otwarta; korzystać z niej mogą tylko członkowie Towarzystwa.

— Szkoła, ogrodnicza, mająca powstać wkrótce w mieście naszym przy ogrodzie Pomologicznym mieścić się będzie we własnym gmachu, obok tegoż ogrodu, w charakterze naukowo praktycznym, pozostając pod nadzorem okręku naukowego.

— Józef Curzydło, urodzony z biednej rodziny w miasteczku Andrychowo w pobliżu Krakowa, oddany tam został do terminu, do krawca Anteckiego. Po wyzwoleniu się na czeladnika, puścił się na zwykłą wędrowkę, udał się do Wiednia, gdzie u krawca Przybylskiego pracował lat kilka. Potem przeniósł się na Morawy do Berna, gdzie był prowizorem krawieckim lat kilka, wreszcie założył warsztat na własną rękę i doszedł do takiej wziętości, że ubierali się u niego arcyksiążęta, w czasie pobytu tam swego. Dorobił się znacznego majątku, lecz wśród tego powodzenia nie zapominał matki wdowy, nie zapominał o młodszym rodzeństwie. Matce wybudował w Andrychowie ładny dworek, braci młodszych do szkół posyłał, a potem jednemu dał grosz znaczny na założenie fabryki sukna, drugiemu założył zasobny sklep kuśnierski w Krakowie, trzeciego, najmłodszego, wziął do siebie, oddał mu swój warsztat, ponieważ dzieci własnych nie miał, obok tego wychował jeszcze dziewczynkę sierotę, którą do szkół posyłał a potem uczciwie wyposażył. W 1886 r. został dotknięty kalectwem ślepoty, i od tego czasu zaniemógł tak, że już z łóżka nie wstaje i resztę posiadanego kapitału, 40.000 zł. reń. przekazał Krakowskiej Akademii Nauk na wydawnictwo dzieł historycznych. Delegat Akademii, generalny jej sekretarz, w ostatnich dniach zeszłego miesiąca udał się do niego do Berna po odbiór tej summy, którą mu Curzydło wręczył.

Dodać trzeba, że przez cały czas pracowitej kariery swej żył bardzo skromnie, nigdy sklepu dla wyrobów swoich nie miał, nigdy wykwiutnym dostatkiem się nie otaczał.

— We Lwowie odbyło się doroczne zebranie „Towarzystwa Kółek Rolniczych“, których zadaniem jest oświecanie drobnych rolników ustnie i za pomocą pism rolniczych, tak w zakresie gospodarstwa rolnego, jak i przemysłu domowego. Do celów Towarzystwa zalicza się zakładanie odpowiednich czytelni i kas oszczędności, spółek przemysłowo-handlowych, oraz sklepików po wsiach i małych miasteczkach, ułatwianie nabycia dobrych nasion i ulepszonych narzędzi rolniczych — wreszcie podniesienie moralności i dobrobytu ludu wiejskiego. Pożyteczna instytucja rozwija się szczęśliwie; w przeciągu lat pięciu powstało 650 kółek, liczących około 30.000 członków.

— Antoni Bieliński, ziemianin, mieszkający obecnie we Lwowie złożył na ręce prezydenta miasta 180.000 zł. reń. na ufundowanie i utrzymanie zakładu dobroczynnego dla nieuleczalnych oraz ubogich rekowalescentów. Obok tego zapisał dla mającego się otworzyć zakładu kamienicę, posiadaną we Lwowie, wartującą 50.000 zł. reń. i zobowiązał się złożyć jeszcze na ręce prezydenta miasta 40.000 zł. reń. na dobudowanie do niej jednego jeszcze skrzydła. Dobroczynna ta fundacja nazywać się ma „Zakładem imienia Antoniego i Waleryi Bielińskich“.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczy“ dołącza się Arkusz 8-my powieści pod tytułem: **Cicha kobieta**, przez Autorkę powieści pod tytułem: „*Silny duch*“, przekład z niemieckiego.

## Encyklopedia Ilustrowana MEDYCYNY i HYGIENY POPULARNEJ

D-ra Pawła Bonami

opracowana i do naszych stosunków zdrowotnych zastosowana

przez

Józefa Starkmana

Zeszyt XXIII-ci wyszedł z druku i zawiera między innemi: **Ricinowy olej, robaki kiskowe, rogówka, ropień, rosół, róża, rybołówstwo, ryż, rzwień, rzęzenie, rzucanie się. Sago, salicylowy kwas i t. p.**

Cena zeszytu kop. 30. Poczta 36. Najwygodniej z prowincyi nadsyłać po rs. 2 na raz. Wszystkich zeszytów będzie 30. Dla płacących z góry za całe dzieło: rs. 8, pocztą rs. 9.50. Do odebrania i do nabycia u M. Orgelbranda na wprost pomnika Kopernika i we wszystkich znaczniejszych księgarniach.

**TREŚĆ:** **Kobieta rozumna**, przez M. Illicką. — **Literat** (Szkic z notatek redaktora) (dalszy ciąg). — **List z Anglii**, przez Henryka. — **Z Wiednia**, przez G. — **Piotruś**, (nowelka) przez Bolesława Markor. — **Z bieżącej chwili**.

**Dodatek obejmuje:** Arkusz 8-my powieści, pod tytułem: **Cicha kobieta**, przez Autorkę powieści pod tytułem: „*Silny duch*“, przekład z niemieckiego. — **Przegląd mód**. — 43 wzorów ubiorów i robót z opisem. — **Sekreta gospodarskie**. — **Dyspozycja stołu**.

Warszawa. — W Drukarni i Litografii S. Orgelbranda Synów, Krakowskie-Przedmieście № 66.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою. — Вapшaвa, 8 Mая 1891 гoдa.





Nr 6. Przybranie sukni Nr 2 w Bl. Nr 22.

mysł i nie wszyscy będziemy słuchać tej mody. Dla uniknięcia, aby fałdy nie spadały płasko i bez wdzięku, zdobi się suknię w dole ukosem aksamitu w bufki układanym, który utrzymuje materiał lub oszywa się kilkoma rzędami taśmy, czy falbankami, aby tylko dół sukni nabrał jakiejsz sztywności. Dopełnieniem sukni jest zakietka, której kilka fasonów wielkiego szyku i bogactwa widzieliśmy w magazynie pani Klaryssy, Mazowiecka 20. Szczególniej jedna wyróżniała się zupełnie. Było to więcej palto, sięgające daleko po za biodra, stylu Ludwika XIV, z zielonego sukna koloru białardowego, na który to kolor paryżanki się krzywią, wołają „fé“, ale go noszą zawsze, cały był oblamowany złotą torsadą, takież kołnier i duże boczne kieszenie. Z pod tego paletotu widniała długa jak paletot kamizelka cała złotem haftowana. Hafty są tak modne i tak je wszędzie zamieszczają, że pracownia panny Bobrowskiej nastarczyć nie może obstalunkom, co tłómaczy zna y wykwinny gust



Nr 2. Suknia z bengaliny i materiału koronkowego.  
(Op. odwr. str. tabl.)

przewodniczącej zakładowi. Pasmanterya w połączeniu z kamyczkami kolorowymi zwanymi „cabochous“ nie schodzi z pola mody i zawsze służy do ozdoby przeróżnych przedmiotów damskiej toalety. U pana Stifsohna na Wierzbowej, w składzie znanym niemal wszystkim,

widzieliśmy tak piękne i różnorodne podobne ozdoby, że wydziwić się trudno fantazji francuskiej. Pan Stifsohn sprowadził także fasony ze złotej i stalowej torsady owych niby kapelusików, które przybrane z przodu i w tyle kwiatami, tworzą istne pieścidelka do ozdoby głowy i włosów, mówiąc o kapeluszach, nie od rzeczy będzie przypomnieć, iż pora zmieniania świeżych kwiatów u kapeluszy nadeszła właśnie obecnie. Widzieliśmy w tych dniach w altanie Lours'a w Alejach śliczniutką młodą damę w czarnej koronkowej kapocie przybranej bardzo sutym bukiem białych narcyzów, jest to właśnie kwiat doskonale się nadający jako świeży do kapelusza. Wiele dam z naszej porady zmieniają kwiaty u kapeluszy aż do róż, które już są za delikatne, źle się upinają i wędną od gorąca lub wiatru. Po narcyzach idzie haber, bez, konwalia, a nawet żółte przelaszczki właściwe do tego użytku, choć naturalnie to wszystko codziennie trze-

## PRZEGLĄD MÓD.

Suknie.—Długość. — Zakietki u pani Klaryssy. — Hafty. — Pasmanterye z kamieni i dżetu. — Kwiaty świeże i robione na kapeluszach. — Zarzutka z kamieniami. — Białe batystowe krawaty haftowane u p. Kiersta.

Sezon wiosenny rozpoczęty w całej pełni, na spacerach widzimy już wszystko o czem pisaliśmy, śliczne suknie w tysiącznych odmianach, bo jak to już pisaliśmy, prawie że nie ma dwóch jednakowych, tylko na spódnice moda nakłada swoje veto, prawie ogólnie ułożone w wachlarz w tyle, z przodu są gładkie, chociaż dziś ostatnie słowo mody w tym kierunku jest albo spódnica ukośnie krajana bez szwu, albo tak, aby z przodu od pasa tworzyła niejako małą drapeiryę. Ostatni żurnal paryżki przyniósł nam decyzję mody, że pomimo wszystkiego co robiono aby powrócić krynolinę choć małą modzie, usiłowania spełzły na niczem i dziś stanowczo jak to już pisaliśmy, suknie płaskie utrzymały się, z dłuższymi niż kiedykolwiek stanikami. Długość spódnicy przedłuża się ciągle, z przodu pokrywa zupełnie nogi, a z tyłu powłóczy się koniecznie. Niefortunny po-



Nr 3—5. Kapelusze ze słomy i bastu.

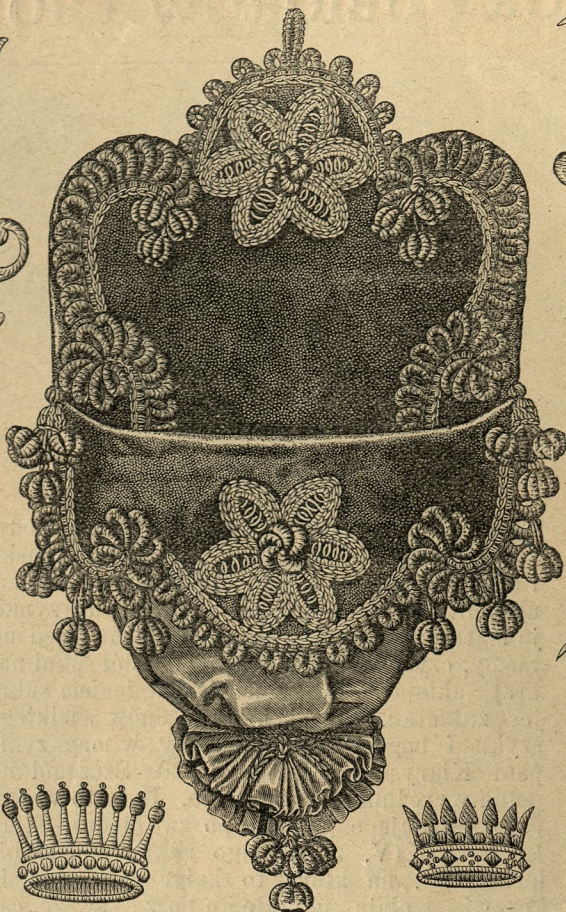


ba zmieniać. Można też użyć niewinnego fortelu, przypinać kwiaty robione, zmieniając je stosownie do przekwitnięcia jakiego, udając za świeże, wtedy już i róże i lewkonie mogą iść w rachunek, a takie tanie i ładne są u pani Siwińskiej, Krakowskie - Przedmieście Nr 61. Wracając się do zakątek i okrywek, piszą nam z Paryża, że tam najmodniejsze są jasne, my praktyczniejsze wolimy ciemne i takie przeważnie nosimy. U pani Klaryssy, jednak widzieliśmy śliczny model koloru piaskowego z białą pikową kamizelką, z pod której wyglądać powinien plastron kolorowej w rzucik koszulki z białym męskim krawatem. A tak ładnego fasonu okrycia z falban welnianych z podłużnie wciętym i z przodu i z tyłu karczkiem całym naszytym kamieniami i dżetem dawno nie spotkałam, ujmowała tak figurę, że owe odstające falbany nikły gdzieś. Modele tych okrywek są tylko dodatkiem do prawdziwej specjalności tego magazynu to jest sukien, których oryginalne modele oglądaliśmy. Wiemy, iż gorseiki szwajcarskie są bardzo modne, tak iż się je spotyka codziennie w pierwszorzędnym magazynach, otóż jeden model był z „crêpe-chine” koloru pistacji wycinany w zęby spiczaste w dole, z pod których widniała spódniczka druga blade-kremowa haftowana najcieńszym sutaszem tegoż koloru. Staniczek bardzo wycięty z faille koloru sukni z krótkimi połami, z pod którego widniał drugi gładki kremowy cały wraz z bufiastymi rękawami, zahafowany jedwabnym siutaszem. Pasek od boków brązowy aksamitny, rękawy podpięte pod górną bufią takąż wstążką, która również okalała szyję.

Jak haft ma dziś wszędzie zastosowanie dowodem, że w witrynie znanego magazynu nowości męskich pana Kierst'a, Bielańska 5, widzieliśmy przesłiczne krawaty białe batystowe z haftowanym bukiem złotem i srebrem, które się wybornie pierze, byle umiejętnie suszyć szybko. Krawaty te tak ładny sprawiają efekt, że nie jedna żona lub kocha-



Nr 22. Tylne części sukni Nr 2 w Bl. Nr 22.



Nr 7. Szyfonierka ozdobiona robotą szydełkową. (Kr. odwr. str. tabl. Nr XVII, fig. 64 i 65).



Nr 8—20. Rozmaite korony i znaki.



Nr 21. Serwetka wykonana gipiurą siatkową (do ryc. Nr 43).

jąca dziewczica (chciałam użyć wyrazu kochanka, ale ten najpiękniejszy i najwyższego polotu wyraz tak został zdyskredytowany, że musiałam się go wyrzec), zobaczywszy tę nowość, będą chciały ją spożytkować na miły podarunek, który zaiste ładniejszy, niżeli noszone w roku zeszłym krawaty zahafowane monogramami.

L. C.

### Suknia z krepy chińskiej w deseń.

Rycina Nr 6 i 22 (do ryc. Nr 2 w Bl. Nr 22).

Krepa chińska koloru żółtawego w deseń różowy. Biała koronka i wstążka różowa morowa. Spódnica z podszewki wykonana zwykłym sposobem 220 c. obwodu, otoczona w dolnym brzegu na 10 c. wys. materjałem i pokryta częścią krepy 320 c. obwodu. Przednia dolna część ozdobiona koronką 23 c. szer. ułożoną podług ryc. i wstążką 9 cen. szer. Stanik krótki wykończony podług ryc. koronką i wstążką.

### Serwetka (siatka gipiurowa).

Rycina Nr 21—43.

Serwetka której ryc. Nr 43 przedstawia część oryginalnej wielkości, wykonana niemi koloru żółtawego. Tło z zwyczajnej siatki, wypełnić podług ryc. Nr 21 ścięciem tkanym (point de toile), ścięciem czerwonym (point de reprise) i ścięciem koronkowym (point d'esprit). Pojedyncze fig. otoczyć podwójną nitką. Gałązki i wasy wykonać tym samym sposobem. Otoczyć dzierganiami ząbkami.

### Koronka do ozdoby bielizny dziecięcej (robotą szydełkową).

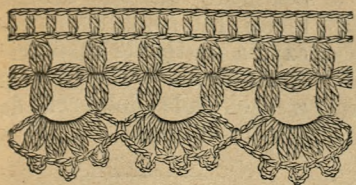
Rycina Nr 24.

Koronka wykonana krętą bawełną.—1 kolej: ciągle 1 listek z 6 pow. ocz. i 2 podw. słup., których górne żyłki razem przerobić 2 o. z 6 pow. o. 2 kolej: ciągle naprzemian: 3 podw. sł., których górne żyłki razem przer. w 1 pow. o. nast. listka. 7 pow. ocz.—3 kolej: \* 3 razy naprzemian: 3 podw.



Nr 23. Tylne części szlafrocza Nr 1 w Bl. Nr 22.





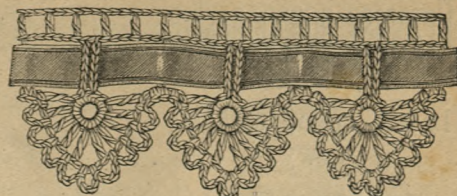
Nr 24. Koronka do ozdoby bielizny dziecięcej (robota szydełkowa).

sł. których górne żyłki, razem przerob., 1 pikot czyli 5 pow. o. i 1 ścis o. w 1 z tychże, potem 3 podw. sł. których górne żyłki razem przerob. w też same 7 pow. o., 2 pow. o., 1 ścis. o. w następ. 7 pow. o., 2 pow. o. od \* powtórzyć. 4 kolej: po drugiej stronie roboty ciągle na przemian 3 podw. sł. których górne żyłki razem przerob. w 1 z 6 pow. o. następ. listka, 4 pow. o. 5 kolej: ciągle na przemian 1 słup. w 2 z rzędu ocz., 1 pow. o.

### Chusteczka z koronki i jedwabnej wstążki.

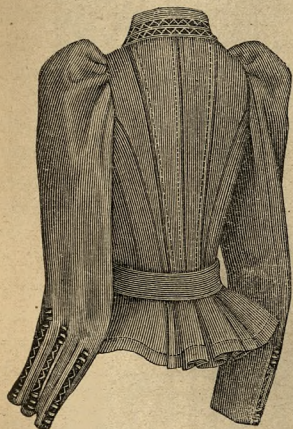
Rycina Nr 26. (Krój pierw. str. tabl. Nr VII, fig. 32—35).

Skrajać z „surah“ i ma-



Nr 25. Koronka do ozdoby bielizny dziecięcej (robota szydełkowa).

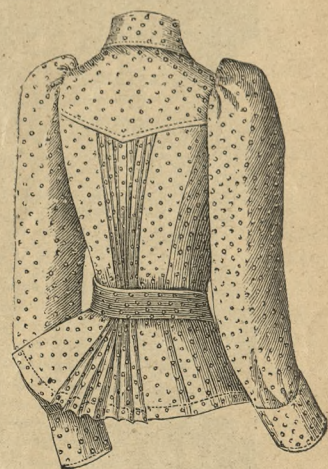
teryálu koronkowego fig. 32 dwie części. Fig. 33 jedną część złożoną wzdłuż środka, zeszyć od 56 do 57. Następnie podług fig. 34 przygotować z szerokiej koronki 2 części, zmarszczyć takowe od \* do \* i przyszyć od 38 do 59 do chusteczki. Następnie ozdobić takową podług ryc. fałdowaną wstążką repsową. Kołnierz wykonać z koronki i pasmanterii, obszyć dracikiem i wszyć od 60 do 61. Wykończyć całość podług ryciny pasmanterii z perelek szmelcowanych.



Nr 28. Tylna część bluzki Nr 34.

Nr 26. Pelerynka z koronki i wstążki jedwabnej. (Kr. 1-sza str. tabl. Nr VII, fig. 32—35).

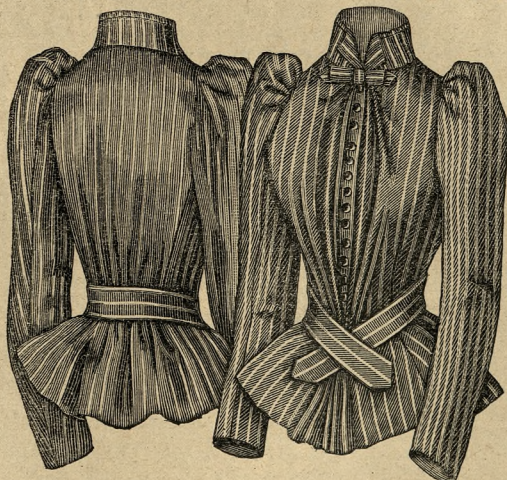
Nr 27 Pelerynka z koronki i repsu jedwabnego. (Kr. i op. odwr. str. tabl. Nr XIV, fig. 57 i 58).



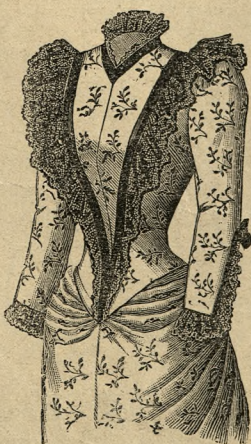
Nr 29. Tylna część bluzki Nr 33.



Nr 33. Bluzka z perkalu (do ryc. Nr 29). Kr. i op. 1-sza str. tabl. Nr II, fig. 13—19).



Nr 30 i 31. Bluzka z „surah“. (Kr. i op. odwr. str. tabl. Nr X, fig. 45—49).



Nr 32. Przednia część sukni Nr 1.



Nr 34. Bluzka z materiału jedwabnego (do ryc. Nr 28).



## Przepisy gospodarskie.

### Łatwy crème czekoladowy.

(proporcya na 6 osób).

$\frac{1}{4}$  funta dobrej wani liowej połamanej czekolady włożyć w rondel i trzymać na ciepłym trzonie aż 'zmięknie, poczem rozrobić ją dwoma łyżkami surowej kremowej śmietanki. Ubić na gęstą pianę  $\frac{1}{2}$  kwarty takiejże śmietanki (gdyby okazała się wodnistą po ubiciu, położyć na sito dla osączenia, ale to ma miejsce tylko wtedy, gdy śmietanka nie jest bardzo gęstą). Zmieszać, dobierając potrochu z czekoladą rozrobioną jak wyżej, wsypać 12 łytów cukru sianego (pudru), sypiąc po trochu, zmoczyć arakiem, wysypać cukrem, włożyć crème i postawić na lodzie na dwie godziny. Bić także na lodzie. Dla



Nr 35 — 42. Bielizna dla małych dzieci.  
(Krój i opis pierw. str. tabl.).

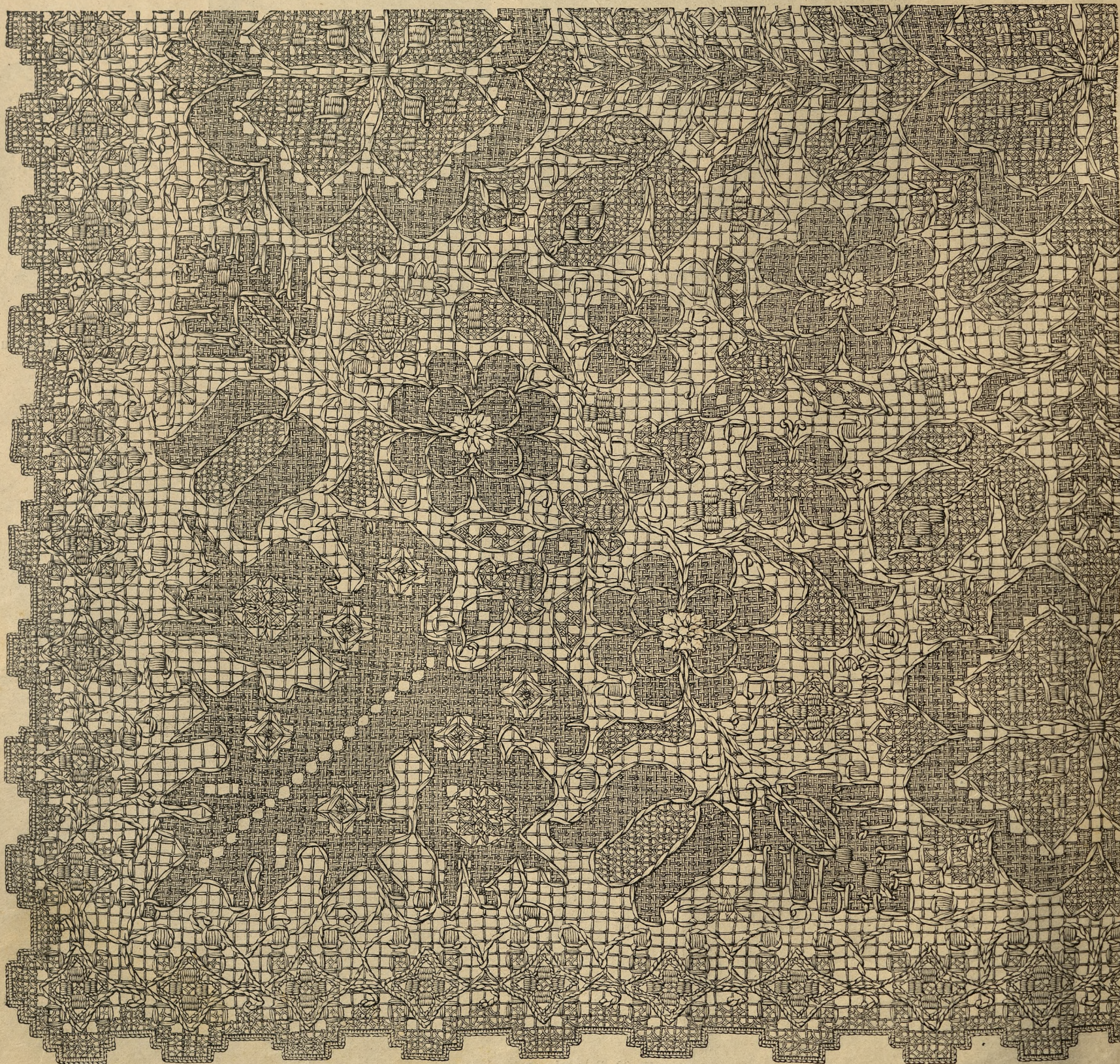
pewności udania zawsze lepiej łyt żelatyny namoczyć a następnie rozpuścić w kieliszku wody i razem z czekoladą dobierać do kremu ubitego. L. C.

### Obiad na Niedzielę.

1. Zupa rakowa.
2. Ozór solony.
3. Szparagi.
4. Pieczeń barania z sałatą.
5. Bułeczki cukierniane z konfiturami.

### UWAGA.

Do dzisiejszego numeru dołącza się tablica krojów, odnosząca się do wzorów w tym i w przyszłym numerze Bluszczu podać się mających.



Nr 43. Część serwetki Nr 21. Połowa wielkości oryginalnej.